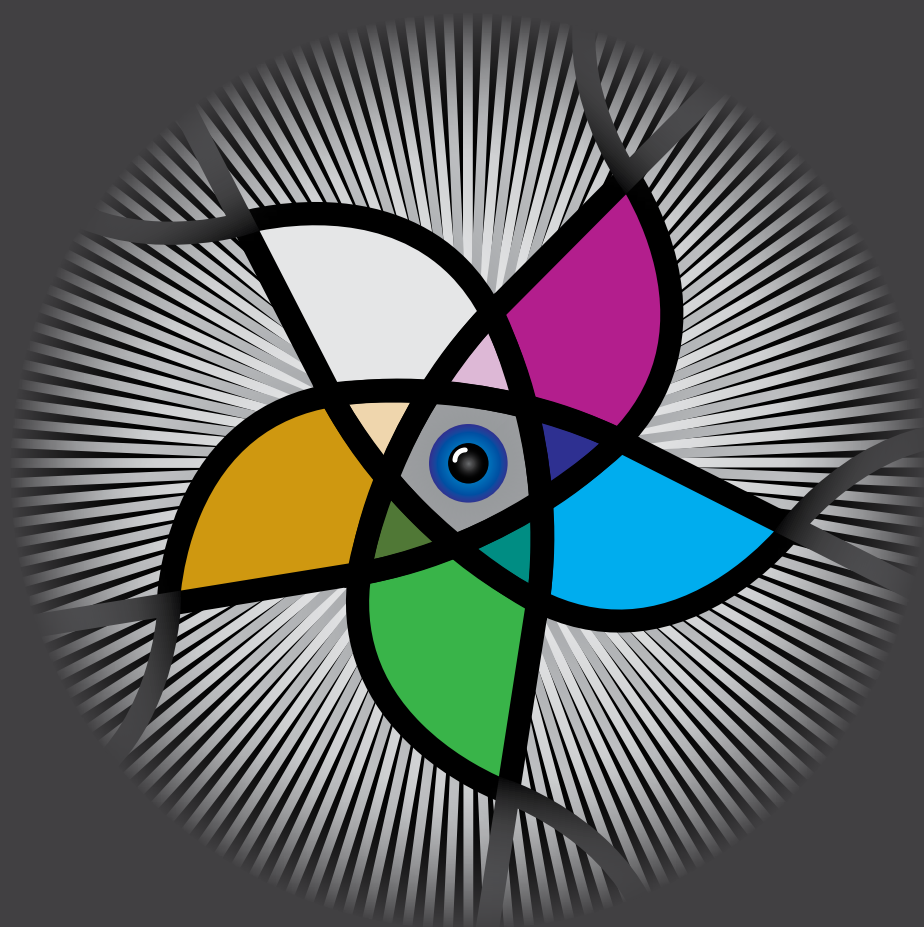


DANIŁ ANDRIEJEW
RÓŻA ŚWIATA



RÓŻA ŚWIATA



Daniil Andriejew, 1935 (fot. z archiwum Borisa Romanowa)

DANIEL ANDRIEJEW
RÓŻA ŚWIATA

Przełożył
EUGENIUSZ BIEDKA



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

Tytuł oryginału: *Posa Mupa*

Wydanie polskie na podstawie: Russkij Put', Moskwa 2006

Recenzenci

prof. dr hab. Janusz Dobieszewski

prof. dr hab. Jan Orłowski

Wydawcy

Bożena Kućmierowska

Andrzej Chrzanowski

Konsultacja kulturoznawcza

prof. Wiktor Skrunda

Redakcja merytoryczna

Jolanta Skrunda

Korekty

Jolanta Skrunda

Bożena Kućmierowska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Copyright by Andriej Okuniew

Published by arrangement with Andriej Okuniew

Copyright for introduction and annotations by Boris Romanow

Copyright for the Polish translation by Eugeniusz Biedka

Copyright for this Edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO

Warszawa 2018

**Publikację dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA

**Published with the support
of the Institute for Literary Translation, Russia**



AD VERBUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości

lub w fragmentach jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-024-0

ISBN 978-83-7963-025-7 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

SPIS TREŚCI

„Olśnienie” wg Daniła Andriejewa (<i>Boris Romanow</i>)	7
---	---

Księga I

RÓŻA ŚWIATA I JEJ MIEJSCE W HISTORII

Rozdział 1. Róża Świata i jej najbliższe zadania.....	18
Rozdział 2. Stosunek do kultury	40
Rozdział 3. Stosunek do religii	54

Księga II

O METAHISTORYCZNEJ I TRANSFIZYCZNEJ METODZIE POZNANIA

Rozdział 1. Niektóre właściwości metody metahistorycznej.....	72
Rozdział 2. Nieco o metodzie transfizycznej	87
Rozdział 3. Koncepcja wyjściowa.....	103

Księga III

STRUKTURA SZADANAKARU. ŚWIATY PORZĄDKU WSTĘPUJĄCEGO

Rozdział 1. Sakwała Rozświetlenia.....	130
Rozdział 2. Zatomisy	139
Rozdział 3. Średnie warstwy Szadanakaru	162

Księga IV

STRUKTURA SZADANAKARU. INFRAFIZYKA

Rozdział 1. Demoniczne Podwaliny.....	180
Rozdział 2. Światy Odwetu	188
Rozdział 3. Szastry i uicraorowie	200

Księga V

STRUKTURA SZADANAKARU. STYCHYALE

Rozdział 1. Stychyale demoniczne.....	214
Rozdział 2. Stychyale świetlane.....	224
Rozdział 3. Stosunek do królestwa zwierząt.....	233

Księga VI

WYŻSZE ŚWIATY SZADANAKARU

Rozdział 1. Ku Światowej Salwaterze.....	254
Rozdział 2. Logos Szadanakaru.....	262
Rozdział 3. Kobiecość.....	280

Księga VII

PRZYCZYNEK DO METAHISTORII DAWNEJ RUSI

Rozdział 1. Ruś Kijowska jako zjawisko metahistoryczne.....	294
Rozdział 2. Mit chrześcijański i prarosjanizm	311
Rozdział 3. Epoka pierwszego uicraora	321

Księga VIII

PRZYCZYNEK DO METAHISTORII CARSTWA MOSKIEWSKIEGO

Rozdział 1. Zmiana uicraorów	330
Rozdział 2. Egregor prawosławia i lęk infrafizyczny	342
Rozdział 3. Wypełnienie przestrzeni między kulturami	351
Rozdział 4. Rodomysł Piotr i demoniczne wypaczenie jego misji	356

Księga IX

PRZYCZYNEK DO METAHISTORII IMPERIUM PETERSBURSKIEGO

Rozdział 1. Drugi uicraor i przestrzeń zewnętrzną	364
Rozdział 2. Drugi uicraor i przestrzeń wewnętrzną	380
Rozdział 3. Pozbawienie sankcji	385
Rozdział 4. Ofiara pokutna	394

Księga X

PRZYCZYNEK DO METAHISTORII KULTURY ROSYJSKIEJ

Rozdział 1. Dar wieszczania	404
Rozdział 2. Misje i losy	418
Rozdział 3. Misje i losy (ciąg dalszy)	432
Rozdział 4. Misje i losy (dokończenie)	445
Rozdział 5. Upadek wieszczów	457

Księga XI

PRZYCZYNEK DO METAHISTORII OSTATNIEGO STULECIA

Rozdział 1. Intronizacja Żrugra III	476
Rozdział 2. Walka z duchowością	487
Rozdział 3. Mroczny pasterz	500
Rozdział 4. Przyczynek do metahistorii naszych dni	539

Księga XII

MOŻLIWOŚCI

Rozdział 1. Wychowanie człowieka uszlachetnionego	554
Rozdział 2. Przedsięwzięcia zewnętrzne	576
Rozdział 3. Kult	589
Rozdział 4. Księżę ciemności	606
Rozdział 5. Zmiana eonów	625

Krótki słownik imion, terminów i nazw najczęściej spotykanych w tekście	633
---	-----

Aneks	640
-------------	-----

„Olśnienie” wg Daniła Andriejewa

W 1937 roku Danił Andriejew przeczytał powieść Bruno Franka o Cervantesie². Książka kończy się opowieścią o tym, jak Cervantes pisał w więzieniu pierwszą część *Don Kichota* i jak pisarz, pochłonięty pracą, gotów jest spędzić w celi więziennej jeszcze rok a nawet trzy lata, aby tylko dokończyć dzieło.

W 1955 roku w liście pisanym z włodzimierskiego więzienia do żony do obozu – po ośmiu latach spędzonych w zamknięciu! – znajdujemy podobne wyznanie u Daniła Andriejewa: „[...] zupełnie nie wyobrażam sobie takiego życia, kiedy musiałbym kłamać przed samym sobą czy przed innymi. Tej jednej myśli wystarczy, żebym wybrał pozostanie tu, gdzie się znajduję... jeszcze przez wiele lat. Tu mogę nie kłamać ani jednym słowem, ani jednym gestem. Tu mogę nie pogardzać sobą. Tu, przynajmniej w części, mogę zajmować się tym, dla czego w ogóle żyję”. A celem, dla którego żył, było napisanie książek, które „bolą”.

W literaturze rosyjskiej niejedna taka książka powstała w więziennym zamknięciu. Nasycony ogromnym ładunkiem emocjonalnym *Żywot protopopa Awwakuma, przez niego samego nakreślony* napisany został w więzieniu w Pustoziersku. *Co robić?* Nikołaja Czernyszewskiego powstało w celi Twierdzy Pietropawłowskiej. Fiodor Dostojewski w więzieniu zaczynał pisać *Wspomnienia z domu umarłych*, podobnie jak Aleksandr Solżenicyn *Archipelag Gulag* czy Warłam Szalamow *Opowiadania kołymskie*. Ale nawet wśród tych książek *Róża Świata* jest dziełem wyjątkowym.

Josif Brodski, który zdążył poznać radzieckie więzienie, w eseju *Pisarz i więzienie* wypowiedział wiele mówiącą myśl „[...] poczynając od św. Pawła, tradycja chrześcijańska z zadziwiającą konsekwencją traktowała uwięzienie jako środek odkrywczego zesłania”³. Powołując się na apostoła Pawła i jego słowa „tak iż kajdany moje stały się głośnie w Chrystusie”⁴, poeta mówi o uwięzieniu jako o środku. Ale i Awwakuma, i Dostojewskiego, i Solżenicyna, i Daniła Andriejewa do więzienia nie doprowadziła nadzieja na objawienie, lecz opatrnościowa logika losu.

Oto dzieje życia pisarza.

1 Boris Romanow jest autorem fundamentalnej monografii o autorze *Róży Świata* (Danił Andriejew, Moskwa 2013). Ten i dalsze przypisy pochodzą od tłumacza.

2 B. Frank, *Cervantes. Roman*, Amsterdam 1934 (wyd. ros. 1936, przekł. z niem. A. Koczetkow).

3 J. Brodski, *Pisarz i więzienie*, przekł. J. Illg, „Na Głos” 1996, nr 25, s. 13.

4 Św. Paweł, *List do Filipian*, Biblia Tysiąclecia, Warszawa 2002, 1:13.

Danił Andriejew urodził się 2 listopada (według starego stylu) 1906 roku w Berlinie. Jego ojciec, Leonid Nikołajewicz Andriejew, był jednym z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich początku XX wieku. Według rodzinnych przekazów był wnukiem śpiewaczki z wędrownego taboru i właściciela ziemskiego z guberni orłowskiej, Karpowa, z rodu Rurykowiczów. Czy prawdziwa jest rodzinna opowieść o prababce będącej cygańską śpiewaczką, nie wiemy. Ale powierzchowność zarówno Daniła jak i Wadima, starszego brata, miała w sobie coś hinduskiego. Znajomi z lat młodości wierzyli w to, nazywali go hinduskim księciem i nie dziwili się jego zamiłowaniu do poezji hinduskiej. Matka ojca, Anastazja Nikołajewna, według świadectw Wadima, pochodziła z polskiej szlacheckiej rodziny Packowskich. Również matka poety, Aleksandra Michajłowna Wielhorska, w linii męskiej pochodziła ze zubożałej gałęzi znanej polskiej hrabiowskiej rodziny Wielhorskich, zaś w linii żeńskiej z ukraińskiej rodziny wielkiego poety ukraińskiego, Tarasa Szewczenki.

Aleksandra Michajłowna zmarła dwa tygodnie po urodzeniu Daniła z powodu gorączki poporodowej. Babka, Jefrosinja Warfolomiejewna, zabrała noworodka do Moskwy. Zostawiła go w domu drugiej córki, Jelizawiety Michajłowny, żony znanego moskiewskiego lekarza, Filipa Aleksandrowicza Dobrowa. Dom Dobrowych stał się domem rodzinnym Daniła. Jego ojcem chrzestnym, podobnie jak brata Wadima, został ówczesny przyjaciel ojca, Maksym Gorki.

Rewolucja i wczesna śmierć ojca, 12 września 1919 roku w fińskiej wiosce Neivola, rozdzieliła Daniła z rodziną Andriejewych, która znalazła się na emigracji.

Brat Daniła, Wadim, wspominał o atmosferze znanego w przedrewolucyjnej Moskwie domu w zaułku Mały Lewszyński: „Dom Dobrowych... – to cała, już dawno miniona epoka, epoka rosyjskiej inteligenckiej rodziny... z nieodłącznymi «Russkimi Wiedomostiami», z niekończącym się wieczornym picciem herbaty, z równie niekończącymi się rozmowami o polityce... z gośćmi niezęgnającymi się przed północą, ze sporami wokół rewolucji, Boga i człowieczeństwa”. Któż tam nie przychodził: Gorki, Bunin, Biely, Szalapin i Skriabin, znani pisarze, muzycy, aktorzy, artyści, adwokaci.

We wrześniu 1917 roku Danił rozpoczął naukę w gimnazjum J. A. Repman, „jednym z najlepszych i najbardziej demokratycznych w Moskwie”, jak sam później pisał w *Autobiografii*. Wkrótce gimnazjum stało się szkołą radziecką. Sąsiadowała ona z domem, w którym mieszkał i umarł Gogol.

Z tego czasu pochodzą zachowane dziecięce utwory Daniła Andriejewa *Istori-ja Myszynii* (Historia Myszynii), *Opisanije planiety Junony* (Opis planety Junony), wiersze, które zaczął pisać równocześnie z pierwszymi opowiadaniem w wieku 9 lat. Zadziwia w tej twórczości nie tylko nieokielznana fantazja ale i rzadka umiejętność stwarzania całych światów, opisywanie historii i geografii wymyślonych planet i krajów, nadawania wszystkiemu dziwacznie brzmiących nazw. Już w jego pierwszych próbach literackich widać dar mitotwórcy, pojawiają się tematy raczej niespotykane u ucznia. W wierszu napisanym jesienią 1916 roku i zatytułowanym *Koniec mira*



Danił Andriejew przed II wojną światową

(Koniec świata) jest mowa o tym, że prorok Eliasz będzie godzić zwaśnionych i zbliżyć obce serca przed nowym nadejściem Boga. Kończy się przestroga: „I będzie przekleństwem przekłeta Ziemia / z ust Boga Stwórcy / jeśli prorok Eliasz nie zdoła / znaleźć drogi dla wszystkich narodów”. Można już odnaleźć tu załączek *Róży Świata*.

Wychowywany w prawosławnej rodzinie, Danił od dzieciństwa odczuwał obecność pierwiastka mistycznego. W *Róży Świata* jest opowieść o pierwszym „mistycznym olśnieniu”, jakiego doznał sierpniowego wieczoru w 1921 roku w cerkwi Chrystusa Zbawiciela. Drugie nastąpiło siedem lat później, zapamiętał ten dzień – 15 kwietnia 1928 roku – w cerkwi Opieki Matki Bożej w Lewszynie. Obie świątynie, wkrótce zburzone przez bezbożną władzę, znajdowały się w pobliżu domu Dobrowów.

Po siedmiu lat ukończył szkołę, uczył się w Instytucie Słowa i na Wyższych Kursach Literatury. Ale przede wszystkim był to czas wypełniony pracą literacką: wierszami, powieścią *Grieszniki* (Grzesznicy) i pracą duchową: poszukiwaniami, pokusami, wątpliwościami. Zajęcia literackie były przerywane koniecznością zarobkowania, pracował jako grafik, próbował zająć się literaturą popularnonaukową: napisał książkę o uczonych wynalazcach, ale nie przepuściła jej cenzura.

W dalszym ciągu doznawał „kosmicznych przeblysków świadomości” – w lipcu 1931 roku pod Trubczewskiem, w listopadzie 1933 roku w moskiewskiej świątyni św. Błażeja.

Jego ziemskie podróże w odróżnieniu od transfizycznych, jak nazywa fantazmatyczne wędrówki w światy innych wymiarów, nie były dalekie. Były to obrzeża Moskwy, nieodległa Tarusa, Małojarsławiec, Krym i Trypol... Natomiast po wędrówkach odbytych po okolicznych wsiach, kiedy znalazł się latem 1930 roku



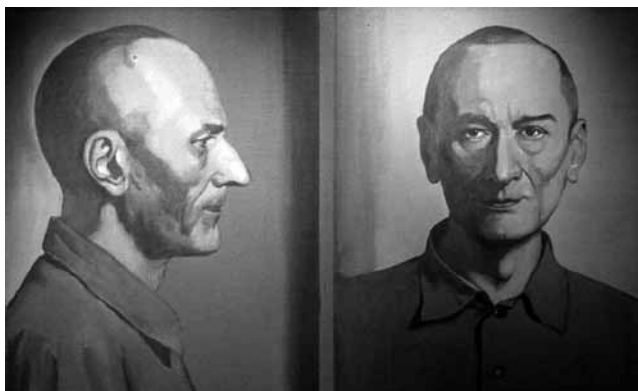
Daniil Andriejew, 1943

w starym miasteczku Trubczewsk, Daniil Andriejew zrozumiał, że tam właśnie może odnaleźć te Indie ducha, których nie przestawał poszukiwać. Tam, nad brzegami rzeczki Nierussa, przeżył jedno z największych mistycznych olśnień. „Doznałem niewypowiedzianego uczucia błogości i zniknął z ziemi krwawy niepokój, stała się jedną wielką harmonią, jak rozgwieżdżone niebo” – wspominał. W celi włodimirskiego więzienia, nie widząc od lat ani gałązki na drzewie, ani zielonego źdźbła trawy, w wyobraźni nadal odbywał bosy spacer po briańskich lasach.

Lata 30. to nie tylko letnie wyjazdy do Trubczewska i na Krym, to także studiowanie religii i historii Wschodu, z których później wyrósł pomysł wielkiego poematu *Pieśń o Monsalwacie* (Pieśń o Monsalvacie). Próbę przemysłów mistycznego doświadczenia zawarł też w niedokończonym utworze *Kontury przedwaritelnoji doktryny* (Zarys wstępnej doktryny). Zmieniał się Daniil, zmieniał się i czas, stając się coraz okrutniejszym.

W 1937 roku Andriejew zaczął pracę nad powieścią *Stranniki noczi* (Nocni wędrowcy). Bohaterami powieści, pisanej potajemnie, byli on i jego przyjaciele, ta inteligencja, która musiała albo się ukrywać, albo się przystosować, aby przeżyć w czasach stalinowskiej Moskwy – akcja toczy się w 1937 roku.

W październiku 1942 roku Andriejew otrzymał powołanie do wojska, mimo że stan zdrowia nie pozwalał mu odbywać służby wojskowej nawet w formacjach pomocniczych. W styczniu 1943 roku, służąc w dywizji strzeleckiej, brał udział w przejściu do oblężonego Leningradu po zamrzniętym jeziorze Ładoga. „Podczas marszu po wyludnionym, zaciemnionym mieście do miejsca dyslokacji – wspominał poeta – doznawałem czegoś podobnego do przeżycia z dawnych, młodzięńczych lat przed cerkwią Chrystusa Zbawiciela, teraz było to przeraźliwie mroczne i groźne [...]”.



Zdjęcie Daniła Andriejewa z czasu pobytu w więzieniu (1947–1957)

Ciemniało i pobłyskiwało starcie pierwiastków absolutnie nieskłonnych do ugody, a ich oszałamiające rozmiary i ziejąca za jednym z nich wielka, demoniczna istota napawała trwogą”.

W wojsku Andriejew znalazł się w oddziale pogrzebowym i, jak wspominali jego koledzy frontowi, starał się na każdą żołnierską mogiłę położyć choćby skromny bukiet polnych kwiatów. Wojna stała się źródłem nowych, tragicznych doświadczeń. Po powrocie do Moskwy kontynuował pracę nad powieścią. Pod koniec wojny los połączył go nierozzerwalnie z malarką Ałłą Aleksandrowną Brużes, obdarzoną, jak przyznawali nawet zazdrośni współcześni, botticellofską urodą.

Szczęście ogniska domowego trwało krótko. 21 kwietnia 1947 roku Daniil Andriejew został aresztowany, dzień później jego żona.

Śledztwo było prowadzone pod nadzorem wyższych urzędników Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Oskarżenie należało do najpoważniejszych – przygotowywanie zamachu na Stalina. Zarzuty zostały sformułowane na podstawie powieści *Stranniki noczi*. W jednym z rozdziałów jakoby opisywano działania tajnej grupy przygotowującej podobny plan. Czekaści nie mogli lub nie chcieli dać wiary, że nawet jeśli opisywana sytuacja jest niezgodna z prawem, to jest to tylko literacka fikcja. Pozostałe dowody wydobywano od oskarżonych w brutalnym śledztwie trwającym półtora roku. W poufnym raporcie w sprawie Andriejewa, przygotowanym dla Stalina, przedstawiono mało prawdopodobne zeznania uzyskane od oskarżonego: „[...] Niejednokrotnie przeżywałem możliwość urzeczywistnienia moich terrorystycznych planów przeciwko głowie państwa radzieckiego podczas uroczystych akademii lub spektakli w Teatrze Wielkim i za każdym razem dochodziłem do wniosku, że zadanie to jest niewykonalne, ponieważ zarówno podczas akademii, jak i przedstawienia, w sali gasną światła i bardzo trudno jest oddać celny strzał, a podczas przerwy trudno znaleźć chwilę, aby się ukryć, strzelać zaś będąc wśród publiczności wydawało mi się bezsensownym samopoświęceniem...”. Stalin podkreślił ten akapit.

Uznany za winnego przygotowywania zamachu na wodza i za przywódcę antyradzieckiej terrorystycznej organizacji, Andriejew został skazany na 25 lat więzienia. Razem z nim sądzono jeszcze 19 osób, które skazano na zesłanie do obozów na okres od 10 do 25 lat. Wina współsprawców – rodziny i przyjaciół – polegała na tym, że czytali nieszczęsną powieść. Skazani mieli szczęście, miesiąc po aresztowaniu autora powieści *Stranniki noczi* ukazał się dekret *O zniesieniu kary śmierci*, który obowiązywał przez dwa i pół roku.

Po zakończeniu śledztwa główny dowód, wszystkie trzy rękopiśmienne egzemplarze powieści, mimo protestów autora zostały zniszczone. 27 listopada 1948 roku Daniła Andriejewa przewieziono z więzienia w Lefortowie do więzienia we Włodzimierze. Jego współwięźniami byli tu w różnych czasach wysokiej rangi jeńcy niemieccy i japońscy, także Wasilij Witaljewicz Szulgin (w jego obecności jako przedstawiciela Dumy abdykował car Mikołaj II), syn znanego białogwardyjskiego generała Aleksandra Pawłowicza Kutiepowa, biolog-akademik Wasilij Wasiljewicz Parin, skazany w „sprawie leningradzkiej” historyk Lew Lwowicz Rakow i wielu innych znanych ludzi, często niewinnych. Zdarzali się także kryminaliści. Właśnie tam, w więzieniu, Danił Andriejew napisał swoje najważniejsze dzieła.

Oto, jak opowiada o początkach pracy nad *Różą Świata*: „Zaczynałem pisać tę książkę w czasach najgłębszego mroku tyranii, niewołącej dwieście milionów ludzi, w więzieniu przeznaczonym przede wszystkim dla skazańców politycznych. Pisałem ukradkiem. Chowałem rękopis i łaskawy los – dobrzy ludzie i nie tylko ludzie – ukrywali go podczas przeszukań. Każdego dnia byłem przygotowany, że rękopis zostanie mi odebrany i zniszczony, jak uczyniono z moją poprzednią powieścią, która zabrała mi 10 lat życia i zaprowadziła do więzienia politycznego”.

Poeta zaczął pisać *Różę Świata* w następstwie nowych mistycznych przeżyć, kiedy ponownie odsłoniły się przed nim te innomaterialne światy, w które niegdyś przez chwilę dane mu było zajrzeć w lipcową noc nad rzeką Nierussa.

Bezsenne, pełne wizji noce na więziennych pryzkach, przenoszące go w transfizyczne wędrówki, wytężona praca twórcza, nie zważając na wyczerpujący więzienny rygor, niepokój o żonę, zesłaną do obozu Dubrawłag, o której przez wiele lat nie miał żadnych wiadomości – wszystko to doprowadziło Andriejewa do ciężkiej depresji, a następnie do zawału serca.

O najważniejszych przeżyciach, towarzyszących powstawaniu *Róży Świata*, zachował się zapis na ocalałej stronie z więziennego dziennika pod datą 7 lutego 1954 roku: „Październik, a zwłaszcza listopad ubiegłego roku, były niezwykle, bezprecedensowym czasem w moim życiu. Co wtedy nastąpiło: objawienie? diabelski trik? obłąd? Wielkość ujranej przeze mnie panoramy świata bez wątpienia przekraczała nie tylko granice mojej świadomości, lecz – jak przypuszczam – również podświadomości. Panorama ta ogarnęła perspektywę niedawnych stuleci, a w nadchodzącej epoce wyznaczała mi rolę niezgodną ani z moim przygotowaniem, ani



Daniil Andriejew z żoną Alłą, Moskwa 1959 (fot. z archiwum Borisa Romanowa)

z jakimikolwiek moimi możliwościami. Patrząc z boku, mogło się wydawać, że to jest mania wielkości w połączeniu z manią religijną. Ale tej diagnozie przeczyły jakby dwa fakty: to, że nie mogłem do końca w to uwierzyć (a cierpiący na manię wielkości niezachwianie wierzą)... Powinno upłynąć wiele miesięcy, może nawet rok, żeby można było wyrokować w tej sprawie. Co prawda niektóre drobiazgi już się wyjaśniły, ale też niektóre drobne przepowiednie się sprawdziły”.

Zwolnienie z więzienia nastąpiło równo 10 lat po aresztowaniu w wyniku nieustających starań żony. W latach chruszczowskiej odwilży wypuszczono z obozów wielu więźniów politycznych. Zwolniono i zrehabilitowano z „powodu braku znamion przestępstwa” skazanych w sprawie Daniila Andriejewa. Tych, którzy przeżyli.

Zadziwia wielość utworów, które poeta stworzył w więzieniu: poetycki cykl *Russkije bogi* (Rosyjscy bogowie), proroczy dramat poetycki *Żelieznaia mistierija* (Misterium żelazne), oratoria, wiersze liryczne i poematy, tryskające ostrym humorem i erudycją opowiadania z tomu *Nowiejszuj Plutarch* (Najnowszy Plutarch), rozprawy o poezji i na koniec monumentalny traktat poetycko-filozoficzny, zawierający wieloletnie przemyślenia i doświadczenia – *Róża Świata*. Ocalałe cudem rękopisy, cudem również wyniesione z więzienia przez Alłę Aleksandrownę Andriejewą, która przyjechała zabrać liche rzeczy męża, istniały początkowo tylko w brudnopisach.

Dwadzieścia trzy miesiące, które Daniil Andriejew przeżył po zwolnieniu z więzienia, były czasem bezdomnej tułaczki, beznadziei, ciężkich chorób i pełnej samozaparcia pracy nad uratowanymi brudnopisami. Zmarł 30 marca 1959 roku.

Za życia poeta nie opublikował ani jednego wersu, zachowując wymuszony „krzyż milczenia”. Dwadzieścia lat po jego śmierci, przede wszystkim dzięki staraniom wdowy, której poeta wieszczyl: „[...] ty umrzesz uspokojona / kiedy będę czytany i czczony”, ukazały się pierwsze utwory.

Danił Andriejew uważał, że jego przeznaczeniem jest podzielenie się mistycznym „doświadczeniem z innymi, ukazanie historycznych i metahistorycznych perspektyw, zawierających ciąg dylematów, stojących przed nami lub mających powstać, panoramy różnomaterialnych światów, mocno powiązanych z nami w dobrym i złym...”. Realizując to zadanie pisze dalej: „[...] starałem się i staram spełniać je w sztuce słowa, prozie i poezji, ale właściwości tej sztuki nie pozwoliły mi w pełni przedstawić całej koncepcji, wyłożyć jej wyczerpująco, jasno i przejrzysto. Rozwinąć tę koncepcję – dotyczącą rzeczywistości innej natury – w taki sposób, żeby uzmysłowić, jak kryje się w niej klucz zarazem do bieżących procesów dziejów i do losu każdego z nas” – oto zamysł *Róży Świata*.

Wszystko sprowadza się do tego, że *Róża Świata* to dzieło niezwykle. Przedstawia ono całkowicie nowy pogląd na strukturę Wszechświata – Enrof, wielowymiarową i różnomaterialną, na strukturę samej Ziemi – Szadanakar z jego 242. warstwami o innej przestrzeni i o innych wymiarach czasu – bramfaturą. Danił Andriejew skrupulatnie, nadając wszystkiemu nazwy, kreuje światy Dobra i światy Odwetu z takimi zdumiewającymi, surrealistycznymi, barwnymi szczegółami, że czytelnik staje się współuczestnikiem jego transfizycznych wędrówek, spotkań i rozmów. Opowiada o tym, jak otwierały mu się „oczy duchowego wejrzenia”, jak przebył drogę „metahistorycznych olśnień, medytacji i przemyśleń”, wyczerpująco wyjaśnia istotę sposobów poznania metahistorycznego i transfizycznego. Jego metahistoria, wykroczenie poza granice ziemskiej historii, przedstawia świat w mało rozpoznanych wymiarach duchowych i w pełni.

Możemy wierzyć lub nie w prawdziwość światów *Róży Świata*, ale jest oczywiste, że nie jest to dzieło z gatunku „fantasy”, lecz „świadection”. Świadection nie tylko złożonej struktury kosmosu, jego dobrych i złych światów, ale i własnego czasu. Tego świadectiona nie można zlekceważyć, wskazuje ono na wielką liczbę religijnych, filozoficznych i społecznych problemów, wiele ujawnia w niezbadanych głębiach psychiki, w rzeczywistym, zamieszkanym przez ludzi świecie.

W *Róży Świata* historia nieodłączna jest od ogarniającej wszystko walki Zła i Dobra. Wielcy działacze przeszłości, wydarzenia historyczne pojawiają się w nieoczekiwanym strumieniu mistycznego światła ogarniającego starcie mieszkańców „warstw” demonicznych i sił dobra. Głosząc swoją naukę, skromnie nazwaną „koncepcją”, Danił Andriejew odwołuje się do widzeń innomaterialnych światów, zamieszkanymi przez społeczności Dobra i rojących się od infernalnych kreatur i monstrów, ale przypomina też o poetyckiej intuicji. Opisuje to, co widział w jasnych lub ciemnych barwach w nocnych olśnieniach, w przeblaskach „kosmicznej

świadości”, poprzez zaparowane okulary wyśnionych wieszczych wizji. Wszystkiemu nadaje imiona, podchwycane, wymyślone lub zasłyszane: Szadanakar, Zwentata-Swentana, Jaroswiet, Nawna, Hagtungr, Uicraor, Żrugr... Jest to transmit – druga rzeczywistość, rzeczywistość nadnaturalna. Wszystko, o czym czytamy, istnieje w rzeczywistości i żyje – nawet dla tych, którzy poecie nie wierzą – w wyobrażonym przez niego wielowarstwowym wszechświecie.

Mamy do czynienia zarówno z sugestywnym misterium, jak i z niezwykle historiozofią, których źródła znajdują się oczywiście nie tylko w profetycznych widzeniach. Są też w chrześcijańskiej eschatologii, również w literaturze, przede wszystkim rosyjskiej, ale i światowej, w filozofii religii, w tradycji gnostycznej i teozoficznej, choćby autor się od nich nie odżegnywał. I naturalnie, w rosyjskim symbolizmie, nawiązującym z kolei do europejskiego romantyzmu, zwłaszcza niemieckiego, z jego filozofią i „mistyczną wrażliwością”. Logika symbolistów prowadziła od mistyki do poszukiwań odnowionej religii i wszyscy oni próbowali odnaleźć ją w teurgicznej twórczości, tworzyli teorie nowej religijnej świadomości, zwracając się albo ku rosyjskim sektom, albo ku „powszechnemu chrześcijaństwu”, albo ku antropozofii. Danił Andriejew doprowadza te poszukiwania do logicznego końca, przedstawiając Różę Świata jako pierwowzór „nowej religii”, powszechnego Kościoła nadchodzących czasów. Jego dzieło, podobnie jak utwory symbolistów, przenika patos przeobrażenia świata, jego rozświetlenia, jak też rozświetlenia ludzi.

Samo wyobrażenie nadchodzącej „interreligii” – Róży Świata – powstało nie bez wpływu najważniejszego dla symbolistów filozofa, Władimira Sołowjowa, jego myśli o „powszechnej teokracji” i „powszechnym Kościele”. Władimir Sołowjow pisał: „Prawdziwy Kościół, jak głosił Dostojewski, jest Kościołem wszechludzkim – przede wszystkim w tym sensie, że ma w nim na koniec zniknąć podział ludzkości na wrogie i współzawodniczące między sobą plemiona i narody. Wszystkie one, nie tracąc swego narodowego charakteru, a jedynie wyzwalać się z narodowego egoizmu, mogą i powinny zjednoczyć się w jednym wspólnym dziele odrodzenia świata”⁵. Danił Andriejew szczegółowo przedstawił obraz ogólnoludzkiego Kościoła, dopełniając, według jego słów, „niedokończony” system Sołowjowa, włączając weń wszystkie światowe religie. Wierzył, że „Róża Świata jest zwieńczeniem działalności wielu, jest dziełem powszechnego trudu ogółu ludzi, doznających objawienia”.

Danił Andriejew – taka jest jego duchowa konstrukcja – ze swoich iluminacji tworzy całościową kosmogonię, kreśli wielkie zarysy transmitu, mitopoetyckiego modelu wszechświata. Każde wydarzenie i przeżycie ma w nim swoje miejsce, związane jest z niekończącymi się zmaganiem mocy demonicznych i sił Światłości.

Wielowymiarowy wszechświat *Róży Świata* przeniknięty jest osobistym doświadczeniem. Danił Andriejew otwarcie pisze o swoich widzeniach, podając

5 W. Sołowjow, *Trzy mowy ku pamięci Dostojewskiego. Mowa druga*, w: *Wybór pism*, t. 3, tłum. J. Zychowicz, Poznań 1988, s. 143.

dokładne daty i miejsca. Wiele szczegółów w jego traktacie ma źródło w jego przeżyciach. Kiedy dziwią nas, powiedzmy, jego projekty pedagogiczne, to trzeba pamiętać, że ukończył świetną szkołę, która w części stała się pierwowzorem college'u przyszłości. Jeden z absolwentów tejże szkoły, wielki matematyk Kołmogorow, organizator znanych powszechnie szkół letnich, w pełni by zrozumiał, skąd czerpał natchnienie dla teorii pedagogicznych znany mu poeta. A Daniil Andriejew był pod ich całkowitym wpływem, apelując o „wychowanie uszlachetnionego człowieka”. Za więziennymi kratami – zachowało się to jego brulionach – zapisał szkolne zadania dla młodszych i starszych klas, ustalając czas przeznaczony na każdy przedmiot, od fizyki i astronomii do literatury powszechnej.

Czytając uduchowione rozważania o zasadności „chodzenia boso”, należy przypomnieć nie tylko wyznanie z dawnego listu do brata w Paryżu, że – podobnie jak ojciec – lubi chodzić boso, ale i to, że podczas przesłuchań jeden ze śledczych odbił mu stopy podkutymi butami.

Nawet *Róża Świata* zaczyna się od opowieści, gdzie i kiedy powstawała, i od wspomnienia niewielkiego jesiennego ogrodu na północnym Kaukazie, w wiosce Goriaczij Klucz, gdzie została ukończona.

Róża Świata jest dziełem w pełni uniwersalistycznym, zwróconym ku głównym problemom ludzkiej historii i bytu, ku przeszłości i ku przyszłości. Znajdują się w niej elementy utopii i antyutopii. Wszystkie rozdziały przenika jednak etyczny patos, wiara w przyszłe „ogólnoludzkie braterstwo”, negacja tyranii i wojen. Trudno znaleźć przykład problemu, który umknął uwagi autora. Istota wielkomocarstwowej państwowości, relacje z naturą, stosunek do świata zwierząt, teoria przenikliwego realizmu oraz prezentacja wizjonerstwa jako odrębnego artystycznego daru religijnego. Poetycka klasyfikacja światowych metakultur. Wiele stron traktatu poświęconych jest metahistorii Rosji od najdawniejszych czasów do współczesności i rosyjskiej kulturze, oglądanej z niecodziennej perspektywy. Zgłębiając objawienia i przemyślenia poety, mitotwórcy i wizjonera, przekonanego, że mity zawsze odtwarzają realność, rozumiemy, że mamy do czynienia z dziełem napisanym „ziemskim językiem” o „pozaziemskim”, ale rzeczywistym świecie.

Róża Świata dla jednych jest książką, w której znajdują coś, z czymś się zgadzają, co przyjmą, dla innych będzie powodem do sporu. Myślących tak samo będzie niewielu, współwyznawców jeszcze mniej. „Chcesz – uwierz, a chcesz – na zawsze / jako bolesną odrzuć...”. Mnóstwo w tej książce uniwersalnych „palących problemów”, których rozwiązania jeszcze nie widać, spraw poruszonych, przemyślanych, oświetlonych duchowym żarem wladimirskiego więźnia, które będą fascynowały coraz to nowych czytelników.

Przełożył Andrzej Chrzanowski

KSIEGA I



RÓŻA ŚWIATA I JEJ MIEJSCE W HISTORII



ROZDZIAŁ 1

RÓŻA ŚWIATA I JEJ NAJBLIŻSZE ZADANIA

Książka ta zaczęła powstawać, kiedy groźba niesłychanego nieszczęścia zawisła już nad ludzkością; kiedy pokolenie, które ledwo zaczęło przychodzić do siebie po tragedii II wojny światowej z przerażeniem przekonywało się, że nad horyzontem już kłębi się, gęstniejąc, dziwna mgła – zapowiedź jeszcze groźniejszej katastrofy, jeszcze bardziej niszczycielskiej wojny.

Zaczyinałem tę książkę w najposępniejszych latach tyranii dławiącej dwieście milionów ludzi. Zaczyinałem ją w więzieniu, które nosiło nazwę „izolatora politycznego”. Pisałem ją ukradkiem. Rękopis ukrywałem i przyjazne moce – ludzkie i nie-ludzkie – chroniły go podczas rewizji. Każdego dnia obawiałem się, że rękopis zostanie zabrany i zniszczony, tak jak zniszczona została moja poprzednia praca, która zajęła mi dziesięć lat życia i spowodowała moją polityczną izolację.

Książka *Róża Świata* została zakończona kilka lat potem, kiedy groźba III wojny światowej już się nie unosiła niby mgliste chmury w oddali, ale rozciągała się nad naszymi głowami, zasłoniwszy niebo i szybko rozchodziła się we wszystkie strony świata aż po horyzont.

„A może nas to ominie?” Taka nadzieja tli się w duszy wszystkich i bez niej nie dałoby się żyć. Jedni próbują umocnić ją dowodami logicznymi i aktywnym działaniem. Niektórzy sprytnie przekonują samych siebie, że groźba była wyolbrzymiana. Jeszcze inni usiłują w ogóle nie myśleć o niej, pograżając się w troskach swego małego światka, raz na zawsze postanawiając sobie: co będzie – to będzie. Są również tacy, w których duszy tli się jeszcze gasnąca iskra – i ci żyją, poruszają się, pracują tylko siłą bezwładu.

Kończę rękopis *Róży Świata* na wolności, w złotym jesiennym ogrodzie¹. Ten, pod którego jarzmem kraj omdlewał z wycieńczenia, dawno już zbiera w zaświatach żniwo tego, co zasiał na tym świecie. A jednak ostatnie stronicę rękopisu ukrywam tak samo, jak ukrywałem pierwsze, i nie mam odwagi wtajemniczyć w ich treść żadnej żywej istoty, i jak dawniej nie mam pewności, że nie zostanie on zniszczony, że doświadczenie duchowe, którym jest nasycony, będzie komukolwiek przekazane.

¹ Danił Andriejew pracę nad książką, rozpoczętą w więzieniu we Włodzimierzu nad Kłazmą, zakończył w czasie pobytu z Allą Andriejewą w osadzie Goriaczij Klucz (obecnie jest to miasto) w Kraju Krasnodarskim.

„A może nas to ominie i tyrania nigdy nie powróci? Może ludzkość na wieki zachowa pamięć o strasznym dziejowym doświadczeniu Rosji?” Nadzieja taka tli się w duszy wszystkich i bez tej nadziei życie byłoby nie do zniesienia.

Ja wszakże należę do tych, których śmiertelnie zraniły dwa wielkie nieszczęścia: dwie wojny światowe i tyrania jednostki. Tacy ludzie nie wierzą, że korzenie wojen i różnych tyranii zostały już wytępione lub w krótkim czasie będą wytępione. Odsunięta może być groźba określonej tyranii, określonej wojny, ale po pewnym czasie pojawi się groźba kolejnych wojen. Oba te nieszczęścia były dla nas swego rodzaju apokalipsami – ujawnieniem potęgi światowego Zła i jego odwiecznej walki z Siłami Światłości. Ludzie innych epok zapewne by nas nie zrozumieli, nasza trwoga wydałaby się im wyolbrzymiona, nasze pojmowanie świata – chorobliwe. Ale nie jest wyolbrzymieniem takie wyobrażenie prawidłowości historycznych, które w świadomości człowieka wypaliło półwiecze obserwacji oraz uczestnictwa w wydarzeniach i procesach o niebywalej ekspansywności. I nie może być chorobliwy ów wniosek, który powstał w duszy człowieka jako owoc działalności jego najjaśniejszych i najgłębszych aspektów.

Jestem ciężko chory, lata mojego życia są policzone. Jeżeli rękopis zostanie zniszczony lub utracony, to nie zdążę go odtworzyć. Ale jeżeli dotrze on kiedykolwiek choćby do kilku osób, których potrzeby duchowe zmuszą do przeczytania go do końca, przezwyciężając wszystkie trudności, to idee, które legły u jego podstaw będą musiały zakiełkować w ich sercach.

Jeśli nastąpi to jeszcze przed III wojną światową lub po niej, albo też III wojna w ogóle nie wybuchnie w najbliższych latach, to książka mimo to nie umrze, jeżeli choć jedna para przyjaznych oczu przebiegnie jej stronicę rozdział po rozdziale. A to dlatego, że pytania, na które próbuje odpowiedzieć, będą ludzi niepokoić również w odległej przyszłości.

Pytania te nie ograniczają się do problematyki wojny i ustroju państwa. Ale nikt nie podważy mego przekonania, że najstraszniesze niebezpieczeństwa, jakie obecnie grożą ludzkości i grozić będą jeszcze przez niejedno stulecie, to wielka samobójcza wojna i totalna światowa tyrania. Być może III wojnę światową – w naszej epoce – ludzkość powstrzyma albo przynajmniej przetrwa ją, tak jak przetrwała pierwszą i drugą wojnę. Być może zdoła znieść w ten czy inny sposób tyranię jeszcze większą i okrutniejszą niż ta, którą myśmy wytrzymali. Może się także zdarzyć, że po stu lub dwustu latach przed narodami pojawią się nowe niebezpieczeństwa, nie mniej zgubne niż tyrania i wielka wojna, choć inne. Jest to możliwe, prawdopodobne. Ale żadne wysiłki umysłu, żadna wyobraźnia czy intuicja nie zdołają nakreślić niebezpieczeństw przyszłości, które w ten czy inny sposób nie byłyby związane z dwoma podstawowymi zagrożeniami: z niebezpieczeństwem fizycznego unicestwienia ludzkości w wyniku wojny i groźbą jej duchowej zagłady spowodowanej totalną światową tyranią.

Książka wymierzona jest przede wszystkim przeciw tym dwom rodzajom zła. Przeciw tym dwom najgłębiej zakorzenionym, pierwiastkowym rodzajom zła. Skierowana jest przeciw nim nie jako pamflet, nie jako demaskatorska satyra ani też jako kazanie. Najostrzejsza satyra i najzarliwsze kazanie są bezskuteczne, jeżeli wyłącznie chłoszczą zło i dowodzą, że dobro jest dobrem, a zło złem. Są bezskuteczne, jeżeli nie są oparte na poznaniu podstaw tego rozumienia świata, tej uniwersalnej nauki i tego skutecznego programu, które rozprzestrzeniając się od umysłu do umysłu i od woli do woli, byłyby zdolne odsunąć od ludzkości te dwa najgłębiej tkwiące niebezpieczeństwa. Podzielenie się swoim doświadczeniem z innymi, ukazanie historycznych i metahistorycznych perspektyw, zawierających ciąg dylematów stojących przed nami lub mających powstać, panoramy różnomaterialnych światów, mocno powiązanych z nami w dobrym i złym, jest celem mojego życia. Starałem się i staram się spełniać je w sztuce słowa, prozie i poezji, ale właściwości sztuki nie pozwoliły mi w pełni przedstawić całej koncepcji, wyłożyć jej wyczerpująco, jasno i przystępnie². Rozwinąć tę koncepcję – dotyczącą rzeczywistości innej natury – w taki sposób, aby uzmysłowić wszystkim, że kryje się w niej zarazem klucz do bieżących procesów dziejów i do losu każdego z nas, i to jest zadaniem niniejszej książki. Książki, która – jeśli Pan Bóg zachowa ją od zagłady – powinna stać się jedną z wielu cegiełek, składających się na fundament Róży Świata, podwalinę ogólnoludzkiego braterstwa.

Istnieje instancja od wieków pretendująca do tego, żeby być jedynym niezachwianym czynnikiem jednoczenia ludzi, odsuwającym od nich niebezpieczeństwo wojny wszystkich ze wszystkimi, niebezpieczeństwo pogrążenia się w chaosie. Instancją tą jest państwo. Od schyłku ustroju rodowego przez wszystkie etapy historyczne państwo było istotną koniecznością. Nawet hierokracje, próbujące zamienić je na władzę religijną, przekształcały się w odmianę tegoż państwa. Państwo cementowało społeczeństwo, stosując przemoc; nie został jeszcze osiągnięty taki stopień rozwoju moralnego, który jest nieodzowny do scementowania społeczeństwa na gruncie jakiegokolwiek innej zasady. Oczywiście, nie został on osiągnięty do dziś. Obecnie państwo też pozostaje jedynym wypróbowanym środkiem przeciw chaosowi społecznemu. Jednakże coraz wyraźniej widoczne są u ludzi wyższe pierwiastki etyczne, zdolne nie tylko do podtrzymywania, ale także doskonalenia harmonii społecznej i – co ważniejsze – rysują się drogi przyspieszonego rozwoju tych pierwiastków.

W historii politycznej najnowszych czasów łatwo daje się wyróżnić dwie przeciwstawne ogólnoludzkie tendencje.

2 Wyznanie to dotyczy głównie poetyckiego *opus magnum* Daniła Andriejewa (dalej D.A.) *Russkije bogi* (*Rosyjscy bogowie*), opublikowanego w pierwszym wydaniu jego dzieł (*Sobranie sočinienij*, t. 1–3, Moskwa 1993); plan całości przewidywał 20 ksiąg (3 ksiąg poeta nie zdążył napisać). Obszerny pierwszy tom wymienionej edycji zawiera wiersze (po części ujęte w większe i mniejsze cykle) oraz poematy. Realistyczne, narracyjne obrazy Rosji z różnych epok „objaśniają” poetyckie obrazy „innobyków” omówionych w *Róży Świata* (dalej RS) dyskursywnie na podstawie mistycznych wizji. Oba te dzieła zatem wzajemnie się uzupełniają (przyp. tłum.).

Jedna z nich dąży do przerostu pierwiastka państwowego jako takiego, do wzmocnienia wszechstronnej zależności jednostki od państwa, ściślej, od tej instancji, w której rękach znajduje się aparat państwowy: partii, armii, wodza. Najjaskrawszymi przykładami tego rodzaju fenomenów są państwa typu faszystowskiego lub narodowosocjalistycznego.

Inny nurt zjawisk, powstały jeszcze w XVIII wieku, jeśli nie wcześniej, to nurt ukierunkowany humanistycznie. Jego źródła i najważniejsze etapy to angielski parlamentaryzm, francuska Deklaracja Praw Człowieka, niemiecka socjaldemokracja, wreszcie wyzwolenieczna walka z kolonializmem. Odległym celem tego nurtu jest osłabienie cementującej funkcji przemocy w życiu narodów i przekształcenie państwa, pełniącego przede wszystkim funkcję aparatu policyjnego zabezpieczającego panowanie narodowe lub klasowe, w aparat powszechnej równowagi ekonomicznej i ochrony praw jednostki. W rzeczywistości historycznej występują również twory oryginalne, które mogą się wydawać jak gdyby hybrydami. W istocie zaś, pozostając fenomenami pierwszego typu, zmieniają swoje oblicze w takiej mierze, w jakiej jest to celowe dla osiągnięcia założonego celu. Jest to tylko taktyka, maskowanie – nic więcej.

A mimo to, bez względu na polaryzację tych zjawisk, łączy je pewna cecha, najbardziej charakterystyczna dla XX stulecia: dążenie do osiągnięcia skali światowej. Zewnętrzny patos różnych ruchów naszego wieku polega na tym, że zawierają one konstruktywne programy organizacji narodów; wewnętrzny patos historii najnowszej polega na żywiołowym dążeniu do tego, co ogólnoświatowe.

Internacjonalizmem swojej doktryny i rozmachem w skali światowej wyróżniał się najsilniejszy ruch pierwszej połowy naszego stulecia. Piętą Achillesową ruchów jemu przeciwnych – rasizmu, narodowego socjalizmu – był ich ciasny nacjonalizm, a ściślej, wąskie rasowe lub narodowe granice tych sfer szczęśliwości, których chimera nęciły i czarowały. Ale one również dążyły do panowania nad światem, przy tym z kolosalną energią. Obecnie kosmopolityczny amerykańizm troszczy się, ażeby uniknąć błędów swoich poprzedników.

Na co wskazuje ten znak czasu? Czyż nie na to, że skala światowa, która przestała być ideą abstrakcyjną, stała się potrzebą powszechną? Czyż nie na to, że świat stał się niepodzielny i jednolity jak nigdy dotąd? Czyż nie na to wreszcie, że połączenie wszystkich palących problemów może być gruntowne i trwałe tylko pod warunkiem światowej skali tego rozwiązania?

Formacje despotyczne programowo urzeczywistniają przy tym zasadę skrajnej przemocy albo też – przez pomysłowe kojarzenie różnych metod – maskują tę zasadę. Tempo jest coraz szybsze. Powstają takie państwowe kolosy, na których zbudowanie wcześniej potrzebne byłyby całe wieki. Każdy z nich jest ze swej natury drapieżny, każdy dąży do narzucenia ludzkości swojej władzy. Ich militarna i techniczna potęga staje się zawrotna. Potęgi takie wielokrotnie wtrącały świat w odmęty wojen i tyranii

– gdzie są więc gwarancje, że nie wtrąca go tam kolejny raz? Aż w końcu zwycięży najsilniejszy w skali światowej, choćby kosztem przekształcenia trzeciej części świata w pejzaż księżycowy. Wtedy cykl się zakończy, ażeby ustąpić miejsca największemu złu: panowaniu jednej dyktatury nad dwiema trzecimi powierzchni świata – najpierw, być może, oligarchicznej, a następnie, jak to zwykle się dzieje, na drugim etapie osobistej. To właśnie jest owo zagrożenie, najstraszniejsze ze wszystkich czyhających na ludzkość: groźba ogólnoludzkiej tyranii.

Świadomie lub nieświadomie, przeczuwając to niebezpieczeństwo, ruchy o tendencjach humanistycznych próbują skonsolidować swoje wysiłki. Ich uczestnicy rozprawiają o współpracy kulturalnej, wymachują hasłami pacyfizmu i swobód demokratycznych, poszukując złudnego ratunku w neutralności albo też wystraszone agresywnością przeciwnika wkraczają na jego drogę. Żaden z nich nie sformułował celu wzbudzającego powszechne zaufanie, celu bezspornego, to znaczy nieodzownej, pilnej potrzeby kontroli etycznej nad działalnością państw. Niektóre społeczeństwa, przerażone potwornościami wojen światowych, próbują się zjednoczyć, myśląc o tym, żeby nastąpiło zjednoczenie całej kuli ziemskiej. Ale jaki byłby teraz wynik tego? Niebezpieczeństwo wojen, co prawda, zostałoby usunięte, przynajmniej tymczasowo. Gdzie są jednak gwarancje, że to superpaństwo, bazując na licznych i wszędzie istniejących grupach ludzi moralnie zacofanych, a tych jest na świecie wciąż jeszcze o wiele więcej niżby się chciało, i budząc drżemiacą w ludzkości żądzę władzy i ciemnienia, nie przerodzi się znowu w taką tyranie, wobec której wszystkie poprzednie wydadzą się zabawą?

Znamienne jest to, że właśnie wyznania religijne, które najwcześniej głosiły internacjonalistyczne ideały braterstwa, obecnie pozostają w tyle za powszechną dążnością do jedności świata. Wyraża się w tym, być może, charakterystyczna dla nich koncentracja na życiu wewnętrznym człowieka, lekceważenie wszelkiej zewnętrżności, do której odnoszą również problem społecznej organizacji ludzkości. Ale jeśli wejrzeć głębiej, jeśli pełnym głosem powiedzieć to, co zwykle mówi się tylko w kręgu ludzi prowadzących intensywne życie religijne, to ujawni coś, co nie przez wszystkich jest uwzględniane. A jest to powstały jeszcze w czasach starożytnego imperium rzymskiego mistyczny strach przed nadchodzącym zjednoczeniem świata; jest to nieukojony lęk o los ludzkości, ponieważ w ogólnoludzkim państwie przeczuwa się pułapkę, z której jedyne wyjście będzie prowadzić do absolutnego jedynowładztwa, do królestwa „księcia tego świata”, do ostatnich kataklizmów historii i jej katastroficznego przerwania³.

I w rzeczy samej, gdzie są gwarancje, że na czele superpaństwa nie znajdzie się ktoś ogarnięty żądzą sławy, a nauka wiernie i uczciwie posłuży mu jako narzędzie do przekształcenia tego superpaństwa właśnie w ową upiorną maszynę dręczenia

3 Tutaj i dalej mowa jest o *Objawieniu św. Jana (Apokalipsie)* i wypowiedzianych tam prorocत्वach.

i ranienia ducha, o której tu mówię? Czyż można nie dostrzegać, że już nawet teraz powstają możliwości wynalezienia doskonałej kontroli zachowań ludzi i sposobów ich myślenia? Gdzie są granice tych koszmarnych perspektyw, które pojawiają się w naszej wyobraźni w wyniku zetknięcia się dwóch czynników: terrorystycznego jedynowładztwa i techniki XXI stulecia? Tyrania będzie jeszcze bardziej totalna, ponieważ zniknie wówczas także ostatnia, tragiczna droga ratunku: nastąpi zdławienie tyranii od zewnątrz i w wyniku jej klęski wojennej – wtedy nie będzie już przecież z kim walczyć – wszyscy zostaną zniewoleni. I światowa jedność, wymarzona przez tyle pokoleń, wymagająca tylu ofiar, odwróci się ku nam swoją demoniczną stroną: swoją **bezwyjściowością**, jeśli przewodnictwo nad tą jednością przechwycą zwolennicy ciemnych mocy.

Gorzkie doświadczenie już teraz przekonuje ludzkość, że ani owe ruchy społeczno-ekonomiczne, nad którymi zwierzchnictwo sprawuje wyłącznie rozum, ani osiągnięcia nauki same przez się nie są w stanie przeprowadzić ludzkości między Scyllą i Charybdą – tyraniami i światowymi wojnami. Co gorsza, nowe systemy społeczno-ekonomiczne, przejmujące panowanie, same stają się siewcami i podżegaczami wojen światowych. Nauka przeistacza się w posłuszną im służkę, o wiele bardziej posłuszną i niezawodną niż Kościół u władców feudalnych. Tragedia polega na tym, że działalność naukowa od samego początku nie była połączona z głęboko przemyślanym wychowaniem moralnym. Do tej działalności byli dopuszczani wszyscy, niezależnie od stopnia poziomu moralnego.

Nic więc dziwnego, że każdy sukces nauki i techniki obraca się teraz z jednej strony przeciw prawdziwym interesom ludzkości. Silnik o spalaniu wewnętrznym, radio, lotnictwo, energia atomowa – wszystko to jednym ze swych końców uderza w żywy organizm narodów. A rozwój środków łączności i osiągnięcia techniczne, umożliwiające reżimowi policyjnemu kontrolowanie życia prywatnego i najtajniejszych myśli każdego człowieka, tworzą żelazną bazę dla wampirycznych kolosalnych dyktatur.

Tak więc doświadczenie historii przywodzi ludzkość do zrozumienia tego oczywistego faktu, że niebezpieczeństwa zostaną zażegnane i harmonia społeczna zostanie osiągnięta nie dzięki rozwojowi nauki i techniki jako takim, nie na drodze przekształcania pierwiastka państwowego, nie dzięki dyktaturze „silnego człowieka”, nie w wyniku dojścia do władzy organizacji pacyfistycznych typu socjaldemokratycznego, rzucanych przez wiatry historii to w prawo, to w lewo, od bezsilnego pięknoduchostwa do rewolucyjnego maksymalizmu, ale poprzez uznanie nieodzownej potrzeby jednej, jedynej drogi: ustanowienia nad Ogólnoświatową Federacją Państw jakiejś nieskazitelnej, nieprzekupnej instancji o wysokim autorytecie, instancji **etycznej**, pozapaństwowej i ponadpaństwowej, natura państwa bowiem jest ze swej istoty pozaetyczna.

Jaka zatem idea, jaka doktryna pomoże stworzyć tego rodzaju kontrolę? Jakie umysły opracują ją i tak ukształtują, aby była do przyjęcia przez zdecydowaną

większość? Jakimi drogami taka instancja, odrzucająca przemoc, osiągnie ogólnoludzkie uznanie, dotrze na szczyty panowania nawet nad Federacją Państw? Jeśli zaś postanowi kierować się zasadą stopniowego zastępowania przemocy czymś innym, to czym mianowicie i w jakiej kolejności? Jaka doktryna zdoła rozwiązać wszystkie wynikające stąd niewiarygodnie złożone problemy?

Niniejsza książka próbuje w jakiejś mierze odpowiedzieć na te pytania, chociaż ogólny jej temat jest szerszy. Ale przygotowując się do odpowiedzi, najpierw należy jasno określić to, w czym ta koncepcja upatruje swego największego, najbardziej nieustępliwego wroga i przeciw czemu – czy też komu – jest skierowana.

Na płaszczyźnie historycznej upatruje ona swoich wrogów w dowolnych mocarstwach, partiach i doktrynach dążących przemocą do zniewolenia innych oraz do wszelkich form i rodzajów despotycznej organizacji narodów. W aspekcie zaś metahistorycznym widzi swego wroga w jednym: w Antybogu, w duchu tyranizującym, Wielkim Dręczycielu, który w życiu naszej planety pojawia się w różnych postaciach. Dla ruchu, o którym mówię, zarówno obecnie, gdy ruch ten zaledwie raczkuje, jak i później, kiedy stanie się decydującym głosem historii, wrogiem będzie jedno: dążenie do tyranii i okrutnej przemocy, i to niezależnie od tego, gdzie przemoc taka by się pojawiła, choćby w nim samym. Przemoc może zostać zaakceptowana jedynie w przypadku skrajnej konieczności, tylko w złagodzonych formach i wyłącznie do momentu, gdy najwyższa instancja poprzez udoskonalone wychowanie nie przygotuje ludzkości przy pomocy milionów głęboko ideowych umysłów i charakterów do zastępowania przymusu dobrowolnością, pokrzykiwań zewnętrznego prawa głosem czystego sumienia, a państwa braterstwem. Innymi słowy, dopóki sama istota państwa nie zostanie przekształcona, a bezduszny aparat państwowej przemocy nie zostanie zastąpiony przez żywe powszechne braterstwo.

Nie trzeba bezwarunkowo zakładać, że proces taki niechybnie zajmie ogromny szmat czasu. Historyczne doświadczenie wielkich dyktatur, które niezwykle energicznie i planowo podporządkowywały sobie ludność olbrzymich krajów dzięki jednemu, starannie obmyślonemu systemowi wychowania i nauczania, wystarczająco udowodniło, jaka potężna siła tkwi w metodzie oddziaływania na psychikę całych pokoleń. Pokolenia były kształtowane w sposób coraz bliższy temu, co jako pożądane wyobrażali sobie dzierżący władzę. Niemcy nazistowskie na przykład potrafiły dopiąć swego celu nawet podczas jednego pokolenia. Ich ideały, rzecz jasna, nie mogą wywołać w nas niczego prócz gniewu i wstrętu. Nie tylko zresztą ideały, nawet ich metody działania powinny prawie całkowicie zostać przez nas odrzucone. Ale tę odkrytą przez Niemców sprężynę powinniśmy mocno wziąć w ręce i ścisnąć. Zbliża się wiek zwycięstw rozpowszechnionego oświecenia duchowego, decydujących zdobyczy nowej, dopiero obecnie rysującej się pedagogiki. Gdyby przynajmniej kilkadziesiąt szkół oddano do jej dyspozycji, ukształtowałoby się w nich pokolenie zdolne do wypełniania obowiązków nie

pod przymusem, ale dobrowolnie; nie ze strachu, ale pod wpływem twórczego impulsu i zamiłowania. W tym zawiera się sens wychowania **człowieka uszlachetnionego**.

Wyobrażam sobie międzynarodową organizację polityczną i kulturalną, stawiającą sobie za cel przekształcenie istoty państwa na drodze konsekwentnej realizacji wszechstronnych reform. Decydującym etapem do osiągnięcia tego celu jest stworzenie Ogólnoświatowej Federacji Państw jako organizacji członków niezależnych, z tym jednakże, żeby nad Federacją ustanowiona została szczególna instancja, o której już wspomniałem: instancja sprawująca kontrolę nad działalnością państw i kierująca z zewnątrz ich bezkrwawym i bezbolesnym przeobrażeniem wewnętrznym. Właśnie bezkrwawym i bezbolesnym – w tym cała rzecz, to odróżni ją od rewolucyjnych doktryn przeszłości.

Jaka będzie struktura tej organizacji, jaka będzie jej nazwa – przewidywanie tego wydaje mi się przedwczesne i niepotrzebne. Nazwijmy ją (na razie umownie, aby nie powtarzać za każdym razem wielosłownych opisów) Ligą Przekształcenia Istoty Państw. Co się zaś tyczy jej struktury, to ci, którzy zostaną jej organizatorami będą i bardziej doświadczeni, i bardziej praktyczni niż ja: to będą działacze społeczni, a nie poeci. Mogę tylko powiedzieć, że ja widzę to następująco: Liga powinna dysponować swoimi filiami we wszystkich krajach, przy czym każda filia powinna mieć kilka aspektów: kulturalny, filantropijny, wychowawczy, polityczny. Polityczny aspekt każdej filii przekształciłby się strukturalnie i organizacyjnie w narodową partię Ogólnoświatowej Reformy Religijnej i Kulturalnej. W Lidze i poprzez Ligę wszystkie te partie będą ze sobą powiązane i zjednoczone.

Jak mianowicie, gdzie i przy czym udziale powstanie Liga, tego oczywiście nie wiem i wiedzieć nie mogę. Jasne jest jednak, że okres od jej powstania do utworzenia Federacji Państw i etycznej instancji nad nimi powinien być rozpatrywany jako okres przygotowawczy – okres, kiedy Liga wszystkie swe siły będzie przeznaczać na upowszechnianie swoich idei, przygotowywanie swoich szeregów, rozbudowę organizacji, wychowanie dorastających pokoleń i stworzenie wewnątrz swojej organizacji tej przyszłej instancji, której z czasem może zostać powierzona międzynarodowa rola kierownicza.

Statut Ligi nie może odmawiać w niej miejsca ludziom o różnych przekonaniach filozoficznych i religijnych. Wymagać należy od nich jedynie gotowości do czynnego udziału w realizacji jej programu i pewności, że nie będą naruszać przyjętych przez nią jako kamień węgielny postulatów moralnych.

We wszystkich konfliktach życia społecznego i walce politycznej Liga powinna odnosić sukcesy nie za cenę odstępowania od swojego kodeksu moralnego, ale właśnie dzięki jego przestrzeganiu. Reputacja Ligi musi być nieskazitelna, jej bezinteresowność nie może budzić wątpliwości, autorytet jej powinien rosnąć, napływać będą bowiem do niej i nieustannie ją umacniać najlepsze siły ludzkości.

Droga do ogólnoświatowej jedności najprawdopodobniej będzie prowadzić poprzez różnorodne stopnie międzynarodowej solidarności, poprzez zjednoczenie i połączenie wspólnot regionalnych; ostatnim jej stopniem będzie światowe referendum czy też plebiscyt – taka czy inna forma wyrazu woli wszystkich. Możliwe, że doprowadzi to do zwycięstwa Ligi tylko w pewnych krajach. Jednakże przemawiać za nią będzie historyczny bieg spraw. Zjednoczenie choćby połowy kuli ziemskiej dokona głębokiego zwrotu w świadomości narodów. Odbędzie się drugie referendum, być może także trzecie, i o dziesięciolecie wcześniej lub później granice Federacji pokryją się z granicami ludzkości. Pojawi się wówczas praktyczna możliwość urzeczywistnienia wielu rozległych przedsięwzięć zmierzających do przekształcenia konglomeratu państwa w monolit, stopniowo przeobrażany w toku dwóch paralelnych procesów: zewnętrznego – polityczno-społeczno-ekonomicznego – i wewnętrznego – wychowawczo-etyczno-religijnego.

Jasno z tego wynika, że działacze Ligi i jej partii narodowych będą mogli walczyć tylko słowem i własnym przykładem, i tylko z tymi ideologiami i doktrynami, które dążą do oczyszczenia sobie drogi do takiej czy innej dyktatury lub utrzymania określonej dyktatury jako steru władzy. Swoich wielkich poprzedników historycznych, mimo że działali w wąskiej skali krajowej, Liga zobaczy w wielkim Mahatmie Gandhim i w partii, której dawał natchnienie. Pierwszy w historii nowożytnej światobliwy mąż stanu – Gandhi oparł swój czysto polityczny ruch na zasadach wysokiej etyki i obalił potoczny pogląd, jakoby polityka i moralność były nie do pogodzenia. Ale ramy narodowe, w których działał Indyjski Kongres Narodowy⁴, Liga rozszerzy do granic planety, a jej celami, w porównaniu z tymi stawianymi przez wielką partię, która wyzwoliła Indie, będą kolejny etap historyczny lub kilka tych etapów.

Znajdzie się oczywiście mnóstwo ludzi, którzy zaczną dowodzić, że metody wybrane przez Ligę są niepraktyczne i nierealne. Jak sprzykrzyli mi się owi zwolennicy realizmu politycznego! Nie ma takiej moralności, nie ma takiej społecznej podłości, która nie byłaby przykrywana tym żalosnym listkiem figowym. Nie ma nic bardziej martwego, bardziej przyziemnego niż mówienie o realizmie politycznym jako przeciwwadze dla wszystkiego, co uskrzydłone, natchnione, duchowe. Realisci polityczni to również ci między innymi, którzy swego czasu dowodzili, nawet w Indiach, że Gandhi to fantasta i marzyciel. Musieli zacisnąć zęby i ugryźć się w język, kiedy Gandhi i jego partia właśnie dzięki wysokiej etyce przywrócili wolność krajowi i poprowadzili go dalej, ku rozkwitowi. Ale nie powierzchownemu rozkwitowi, który sypie ludziom w oczy czarny piasek cyfr o wzroście wydobywania węgla albo radioaktywny popiół po wybuchach bomb wodorowych, lecz rozkwitowi kulturalnemu, etycznemu i estetycznemu – rozkwitowi duchowemu, bez pośpiechu, natomiast trwale implikującemu również rozkwit materialny.

4 Największa partia polityczna Indii, założona w grudniu 1885 r.

Winić Ligę za to, że jej metody są nierealne, będą także ci, którzy nie są zdolni dostrzegać lepszych cech człowieka, ci, których psychika uległa brutalizacji, a sumienie osłabło w atmosferze bezwzględnej państwowej samowoli. Przylączę się do nich także ci, którzy nie przewidują, jakie będą rozmiary postępu masowej świadomości już w najbliższych latach. Urazy spowodowane przez wojny, represje i wszelkie możliwe formy przemocy już obecnie wyzwalają szeroki ruch na rzecz współistnienia i pokoju. Nieustannie zachodzą i będą zachodzić wydarzenia niszczące poczucie bezpieczeństwa, nieoszczędzające resztek ciepła domowego i spokoju, podrywające korzenie zaufania do istniejących ideologii i chronionego przez nie porządku rzeczy. Zdemaskowanie niesłychanych potworności dokonywanych za pompatycznymi fasadami dyktatur, uwidocznienie tego, na czym budowano i czym opłacane były ich krótkotrwałe zwycięstwa, ich powierzchowne sukcesy – wszystko to wysusza duszę jak rozpalony wiatr i łaknienie duchowe staje się nie do wytrzymania. Zażegnanie groźby wielkich wojen, drogi do zjednoczenia świata bez rozlewu krwi, nadejście świątobliwego nosiciela światłości, który obejmie przywództwo zjednoczonej ludzkości, osłabienie przemocy państw i intensyfikacja ducha braterstwa – oto intencje modlitw wierzących i marzeń niewierzących naszego wieku. I jest w najwyższym stopniu prawdopodobne, że ogarniająca świat uduchowiona nauka – moralna, polityczna, filozoficzna i religijna – przetworzy to łaknienie duchowe pokolenia we ogólnonarodowy twórczy entuzjazm.

To, że ostatni wieki ruch religijny ludzkości – reformacja protestancka – był czterysta lat temu, a ostatnia religia o światowym znaczeniu, czyli islam, liczy już trzysta wieków istnienia – wysuwane jest niekiedy jako argument przemawiający za tym, że era religijna ludzkości została zamknięta. Ale o potencjalnych możliwościach religii jako takiej, nie zaś jej poszczególnych form, należy sądzić nie na podstawie tego, jak dawno powstały te wielkie formy, lecz na podstawie tego, czy ewolucja religii zabrnęła w ślepy zaułek, czy też istnieje możliwość połączenia twórczej myśli religijnej z bezspornymi tezami nauki, a ponadto na podstawie tego, czy taki światopogląd ma perspektywę odnalezienia sensu w życiowym materiale nowych epok i czy możliwy jest czynny i progresywny wpływ religii na ten materiał.

Rzeczywiście, od ostatniego wielkiego ruchu religijnego na skalę międzynarodową minęło około czterystu lat. Jednakże również **przed** reformacją przez wiele stuleci nie było podobnych ruchów. Czyżby na tym miała polegać sprawa? Czyżby nie było jeszcze jasne, że określony nurt ideowej, twórczej pracy ludzkości przez ostatnie wieki łączył w sobie wszystkie jej siły duchowe i umysłowe? Trudno byłoby spodziewać się tego, że ludzkość, dokonując tak burzliwego postępu: naukowego, technicznego i społecznego, tworząc takie wartości kulturowe, jak literatura, muzyka, filozofia, sztuka i nauka ostatnich wieków, znajdzie jeszcze siły, by równocześnie opracować uniwersalne systemy religijne.

Jednak właśnie przełom XX wieku jawi się jako epoka, kiedy zakończył się rozkwit wspaniałych literatur i sztuk pięknych, wielkiej muzyki i filozofii. Działalność społeczno-polityczna przyciąga – i im dalej, tym wyraźniej to widać – nie tych bardziej uduchowionych przedstawicieli ludzkości, ale właśnie tych mniej uduchowionych. Wytworzyła się gigantyczna próżnia duchowości, nieistniejąca jeszcze pięćdziesiąt lat temu, cierpiąca zaś na hipertrofię nauka nie jest w stanie jej wypełnić. Jeśli można użyć takiego określenia, to kolosalne rezerwy ludzkiego geniuszu nie są nigdzie rozprowadzane. A to właśnie jest rzeczono łono sił twórczych, w którym dojrzewa mająca się narodzić ogólnoludzka interreligia.

Czy religia – nie jej dawne formy, lecz ta religia „sumaryczna” (*religija itoga*), którą obecnie jest brzemienisty świat – zdoła odsunąć najgroźniejsze z zagrażających światu niebezpieczeństw: wojny światowe i światową tyranie? Zapewne nie jest w stanie zapobiec najbliższej wojnie światowej: jeżeli wybuchnie III wojna światowa, to nieszczęście to nastąpi zapewne nawet wcześniej, niż powstanie Liga. Ale najbliższym jej celem jest zapobieganie wszystkim wojnom, których groźba będzie się pojawiać po ukształtowaniu się jądra przyszłej interreligii, podobnie jak zapobieganie światowej tyranii. Czy religia ta może osiągnąć tak wielką harmonię między wolnością jednostki i interesami ludzkości, jaka tylko jest do pomyślenia na danym etapie historii? Wszak to tylko inny aspekt tego samego najbliższego celu. Czy będzie ona sprzyjać wszechstronnemu rozwojowi zdolności twórczych zdeponowanych w człowieku? Będzie, wyłączwszy zdolności demoniczne, to znaczy zdolności do tyranizowania, dręczenia innych i samoutwierdzania się kosztem pozostałych żywych istot. Czy żeby osiągnąć sukces, potrzebuje ona krwawych ofiar, tak jak inne ruchy ogólnoswiatowe? Nie, wyłączając te przypadki, kiedy jej głosicielom przyjdzie, być może, własną krwią potwierdzić wierność idei. Czy jej tezy przeczą nie filozoficznej doktrynie materializmu (tej wszak przeczą, oczywiście, we wszystkich punktach od A do Z), lecz obiektywnym i powszechnie obowiązującym tezom nauki współczesnej? Nie, ani jednej literze czy cyfrze. Czy w epoce jej hegemonii można przewidywać powstanie takiego reżymu, w którym odmienne poglądy będą prześladowane, w którym będzie ona narzucać swoje dogmaty filozofii, nauce, sztuce? Jest całkowicie odwrotnie. Przewidywana przez nią droga to początkowo częściowe ograniczenie wolności myśli, a później jej nieograniczona wolność. Cóż pozostanie z argumentu, że religia nie jest zdolna dać odpowiedzi na palące problemy współczesności, a tym bardziej praktycznie je rozwiązać?

W pełni zasadnie można to zarzucić nie religii, ale – o dziwo! – nauce. To właśnie system poglądów, który nie patrzy ani na prawo, ani na lewo poza granice tego, co jest zakreślone przez współczesną wiedzę naukową, nie jest zdolny do odpowiedzi na najbardziej podstawowe, najprostsze pytania. Czy istnieje Pierwsza Przyczyna, Stwórca, Bóg? Nie wiadomo. Czy istnieje dusza lub coś do niej podobnego i czy jest ona nieśmiertelna? Nauka nie wie tego. Czym jest czas, przestrzeń, materia,

energia? Poglądy na ten temat są krańcowo rozbieżne. Czy świat jest wieczny i nieskończony, czy też odwrotnie, jest ograniczony w czasie i przestrzeni? Nauka nie dysponuje materiałami, by kompetentnie odpowiedzieć na te pytania. W imię czego powinienem czynić dobro, a nie zło, jeśli zło podoba mi się, a kary mogą uniknąć? Odpowiedzi są całkowicie nieprzekonujące. Jak posłużyć się nauką, żeby zapobiec wojnom i tyranii? Milczenie. Jak osiągnąć przy najmniejszej liczbie ofiar harmonię społeczną? Wysuwa się w tej sprawie wzajemnie wykluczające się propozycje, zbieżne tylko w jednym, a mianowicie w tym, że wszystkie w równej mierze nie mają nic wspólnego z rzetelną nauką. Zrozumiałe, że na takich chwiejnych, subiektywnych, faktycznie pseudonaukowych podstawach powstawały tylko doktryny egoizmu klasowego, rasowego, narodowego i partyjnego, to znaczy właśnie te, których celem jest usprawiedliwianie dyktatur i wojen. Wyróżniającym rysem takich doktryn jest niski poziom duchowości. Zatem poszukiwana instancja etyczna nie może zostać stworzona na podstawie tak zwanego światopoglądu naukowego, lecz musi opierać się na przyswojeniu sobie świata duchowego, na przyjęciu promieni płynących stamtąd do serca, rozumu i sumienia oraz na realizacji przykazania czynnej i twórczej miłości we wszystkich sferach życia. Poziom moralny, w pełni zgodny z wymienionymi cechami, nazywany jest światobliwością.

Powszechny jest jeszcze inny przesąd: spojrzenie na religię jako zjawisko ze swej istoty reakcyjne, tym bardziej w naszej epoce. Ale mówienie o reakcyjności lub anachroniczności religii jako takiej, bez związku z jej konkretnymi formami, jest tak samo bezmyślne jak dowodzenie reakcyjności sztuki lub filozofii jako takich. Ten, kto myśli dynamicznie, kto dostrzega ewoluujące ciągi faktów i procesy, w których powstają te ciągi, ten i w sztuce, i w religii, i w dowolnej dziedzinie ludzkiej działalności zdoła dopatrzeć się obecności form reakcyjnych i progresywnych. Reakcyjnych form religii można znaleźć tyle, ile się zechce, i nawet więcej niżby się chciało, ale to nie ma żadnego odniesienia do tej rodzącej się religii „sumarycznej”, której poświęcona jest niniejsza książka. W naszym stuleciu bowiem nie było i nie ma bardziej postępowych celów ani bardziej postępowych metod niż te, które zlały się w jedną całość z tą religią. Co zaś tyczy się aspiracji metody naukowej do niejakej nadrzędności, to metoda naukowa jest zbyt słaba, aby wyprzeć z życia metody: artystyczną i religijną w szerokim tego słowa znaczeniu, podobnie jak jej samej swego czasu nie zdołała wyprzeć agresywna religijność. A to dlatego, że metody te różnią się od siebie nie tylko tym **jak**, ale i tym, **co** dzięki nim się poznaje. W minionym stuleciu, pod wrażeniem gwałtownego postępu w nauce i technice, prorokowano upadek sztuki. Minęło sto lat, a kwiatostan sztuk nie tylko nie zginął, ale nawet wzbogacił się o jeszcze jedną odmianę – sztukę filmową. Czterdzieści czy trzydzieści lat temu wielu ludziom w Rosji wydawało się, że wskutek postępu naukowego i społecznego nieuchronny jest upadek religii. Jednak kwiatostan religii nie tylko nie zginął, wbrew wszelkim środkom w tym celu mobilizowanym, ale właśnie pod wpływem postępu

naukowego i społecznego wzbogaca się tym, co uczyni ze światowej religijności – zamiast łączenia oddzielnych płatków – pełnokształtny i jedyny kwiat duchowy:

Różę Świata.

Wynika z tego, że ruch religijny, który do swego pojmowania świata i praktyki włączy pozytywne doświadczenie ludzkości, a z negatywnego doświadczenia wyciągnie wnioski wymagające zbyt wielkiej odwagi i prostolinijności, aby mogły być wyprowadzone na szlaki innych nurtów myśli społecznej; ruch, który jako swoje najbliższe cele stawia przekształcenie państwa w braterstwo, zjednoczenie całej Ziemi i wychowanie człowieka uszlachetnionego; ruch, który przed zniekształceniem ideału i metod ochroni się dzięki niezniszczalnemu pancerzowi wyższej moralności, taki ruch nie może nie zostać uznany za progresywny, perspektywiczny i twórczo młody.

Pancerz moralności! Ale na jakich podstawach może powstać taka moralność? Mówiłem o świątobliwości. Ale czyż nie jest utopią świątobliwość całych kręgów społecznych, nie zaś jednostek?

Należy uściślić, co jest tutaj rozumiane przez świątobliwość. Świątobliwość nie jest wyłącznie rezultatem ascezy zakonnej. Świątobliwość to wyższy stopień rozwoju moralnego człowieka; ten, kto wzniosł się ponad nim, już nie jest świątobliwy, lecz święty. Natomiast formy świątobliwości są różnorodne, zależą od czasu, miejsca i ludzkiego charakteru. Najogólniej można powiedzieć, że w aspekcie negatywnym świątobliwość to taki stan człowieka, utrwalony i kończący się dopiero z jego śmiercią, w którym wola człowieka jest niezależna od impulsów egoizmu, rozum jest niezależny od skrępowania bodźcami materialnymi, a serce jest wolne od napięcia przypadkowych mętnych, ponizających duszę emocji. W pozytywnym zaś aspekcie świątobliwość to nasycenie czynną miłością do Boga, ludzi i świata całej zewnętrznej i wewnętrznej działalności człowieka.

Wątpliwe, czy klimat psychologiczny dla powstania instancji moralnej opartej właśnie na świątobliwości może być gdzieś lepiej przygotowany niż w społeczności, która zjednoczyła się w nadziei powstania takiej instancji i upatruje w tym sens i cel swego istnienia. Właśnie taką społecznością powinna być Liga. Wśród jej członków mogą się znaleźć nawet ateści. Ale podstawową tezą Ligi jest uznanie konieczności powołania powszechnej instancji etycznej stojącej ponad państwami; właśnie ta teza najmocniej zespoli najbardziej uduchowionych, twórczych, aktywnych i utalentowanych członków Ligi jako jej **trzon**. Trzon, który cechuje atmosfera nieustannego duchowego tworzenia, aktywnej miłości i czystości. Trzon składający się z ludzi wystarczająco oświeconych, aby rozumieć nie tylko niebezpieczeństwo grożące każdemu z nich wskutek rozpasania impulsów wsobności, ale także niebezpieczeństwo owego zbyt powierzchownego pojmowania wartości religijno-moralnych, które prowadzi do formalizmu etycznego, hipokryzji, oschłości duchowej i obłudy.

Nikt, oprócz Pana Boga, nie wie, gdzie i kiedy zatli się pierwszy płomień Róży Świata. Jako kraj ten wyznaczona jest Rosja, ale mogą jeszcze nastąpić tragiczne

wydarzenia, które skomplikują urzeczywistnienie tego mistycznego aktu i zmuszą do przeniesienia go do innego kraju. Epoka lat 60. naszego wieku jest tylko przewidywana; możliwe są zgubne kataklizmy, które odsuną tę datę na długie lata. Możliwe, że środowiskiem, w którym zatli się pierwszy płomień okaże się nie Liga Przekształcenia Istoty Państwa, lecz inny, obecnie jeszcze nie przewidywany krąg ludzi. Ale czy tu, czy tam, w tym czy innym kraju, o dziesięciolecie wcześniej czy później, interreligijny, powszechny Kościół naszych czasów, Róża Świata, pojawi się jako końcowy wynik działalności wielu ludzi, jako wspólnotowa twórczość ludzi, na których spłynął strumień objawienia – pojawi się, powstanie, wkroczy na arenę dziejów.

Religia, interreligia, Kościół – użycie żadnego z tych słów nie oddaje precyzyjnie jej znaczenia. Wiele istotnych cech odróżniających ją od starych religii i kościołów wymusi z czasem utworzenie innych określających ją słów. Ale i bez tego wypada w tej książce wprowadzić takie bogactwo nowych słów, że na samym początku najlepiej będzie posłużyć się nie tymi nieznanymi słowami, lecz opisowym określeniem tego, co powinno być nazwane Różą Świata.

To nie jest zamknięte wyznanie religijne, prawdziwe czy fałszywe. To nie jest też międzynarodowe stowarzyszenie religijne w rodzaju teozoficznego, antropozoficznego czy masonskiego, utworzonego na podobieństwo bukietu z pojedynczych kwiatów prawd religijnych, eklektycznie zebranych na wszystkich możliwych łakach religijnych⁵. Jest to religia lub panreligia w tym sensie, że należy ją pojmować jako naukę uniwersalną, wskazującą taki punkt widzenia na religie wcześniej powstałe, z którego wszystkie okazują się odzwierciedleniami różnych warstw duchowej rzeczywistości, różnych porządków faktów innomaterialnych, różnych segmentów Planetarnego Kosmosu⁶. Ten punkt widzenia obejmuje Szadanakar⁷ jako całość i jako część Boskiego Kosmosu Wszechświata. Jeżeli stare religie są płatkami, to Róża Świata jest kwiatem z korzeniem, łodygą, koroną i całą wspólnotą jego płatków.

5 Teozofia (dosł. bogopoznanie) – doktryna o możliwości nabycia wiedzy o Bogu dzięki intuicji mistycznej i objawieniom dostępnym wtajemniczonym. D.A. ma tu na uwadze poglądy teozoficzne związane z działalnością Towarzystwa Teozoficznego, założonego w 1875 r. przez Helenę Bławatską. Antropozofia to doktryna, według której człowiek, rozwijając ukryte w nim mistyczne zdolności postrzegania ponadmysłowego, może zapanować nad przyrodą, rozwinięta została przez R. Steinera (zob. przyp. 21 w ks. X), który w 1913 r. powołał Towarzystwo Antropozoficzne. Masoneria – nurt religijno-filozoficzny, któremu towarzyszyło zakładanie „tajnych łóż”, do dzisiaj istniejących. W archiwalnych brudnopisach RŚ zachowała się notatka: „I. Bławatska – skrzyżowany wpływ 1) skrajnie mglistych przeczuć RŚ, 2) hipnoza niektórych niższych form filozofii indyjskiej, 3) wszelkiego możliwego diabelstwa od Dugguru do Cebrumru. Steiner – nieszczęsny gmatwacz, w końcu dotrze do Olinry. Wpadał w magię – samozwaństwo i sprowadzanie tysięcy dusz na bezdroża. Był dobry – i to skróciło jego mękę”.

6 Przez Planetarny Kosmos jest rozumiany całokształt warstw różnorodnej materialności, różnych licznie wymiarów przestrzennych i czasowych, jednak bezwzględnie związanych z Ziemią jako planetą. Planetarny Kosmos to kula ziemiska w całej złożoności materialnych (a nie tylko fizycznych) sfer jej bytu. Podobne wielkie systemy są właściwością wielu ciał niebieskich. Nazywam je bramfaturami. Bramfatura Ziemi ma nazwę Szadanakar. O tych pojęciach, jak i o wielu innych, używanych tu po raz pierwszy albo też zmienionych przez nadanie im nowego sensu, zob. *Krótki słownik*, zamieszczony na końcu niniejszej książki (przyp. D.A.).

7 Zob. *Krótki słownik*. Istnieje niepozbowione dowcipu przypuszczenie, że nazwa ta stanowi anagram rosyjskiego słowa *karandasz* (ołówek).

Druga różnica to uniwersalność dążeń Róży Świata i ich historyczna konkretność. Żadna religia, z wyjątkiem średniowiecznego katolicyzmu, nie podejmowała się przekształcenia społecznego organizmu ludzkości. Papiestwo, które uparcie starało się zamknąć feudalny chaos tamami hierokracji, również nie zdołało złagodzić eksploatacji ludzi pozbawionych własności przez posiadaczy ani zmniejszyć nierówności społecznych przez szeroko zakrojone reformy, ani też podnieść ogólnego dobrobytu. Zresztą, obwinianie za to zwierzchniej hierarchii katolickiej nie byłoby słuszne, bo na takie przemiany nie było wtedy środków materialnych, ekonomicznych ani technicznych. Zło świata nie przypadkiem od prawników aż do czasów nowożytnych odczuwane było jako nieusuwalne i wieczne, i katolicyzm, tak jak i pozostałe religie, koncentrował się tylko na życiu wewnętrznym człowieka, uczył doskonalenia osobistego. Ale czasy się zmieniły, pojawiły się środki materialne i zasługą procesu historycznego, a nie tylko Róży Świata jest to, że teraz będzie ona mogła patrzeć na przeobrażenia społeczne nie jak na sprawę postronną, skazaną na niepowodzenie i niegodną wysiłków, ale będzie mogła łączyć te przeobrażenia bezpośrednio z doskonaleniem wewnętrznego świata człowieka – obecnie są to procesy równoległe, które powinny wzajemnie się dopełniać. Słyszy się nierzadko, że „chrześcijaństwo się nie udało”. Gdyby ono całkowicie już odeszło w przeszłość, to istotnie można byłoby mówić, że nie udało się ono w aspekcie społecznym i powszechnej etyki. „Religia się nie udała”. Gdyby religijna twórczość ludzkości skończyła się na tym, co już stworzono, to religia w tym sensie byłaby faktycznie nieudana. Jednakże na razie słuszne jest tylko stwierdzenie, że stare religie nie mogły osiągnąć istotnego zmniejszenia zła społecznego, ponieważ nie dysponowały nieodzownymi do tego środkami materialnymi i brak tych środków wpływał na ich negatywny stosunek do tych wszystkich usiłowań. Przygotowało to bezreligijny etap cywilizacji. W XVIII wieku obudziło się sumienie społeczne. Odczuto i zrozumiano w końcu, że dysharmonia społeczna jest czymś niedopuszczalnym, haniebnym, wymagającym przezwyciężenia. Było to oczywiście związane z tym, że niewystarczające dotąd środki materialne zaczęły się znajdować. Ale stare religie nie zdołały tego zrozumieć, nie miały chęci posłużyć się tymi środkami, nie zechciały stanąć na czele procesu przeobrażeń społecznych i właśnie ten marazm, to lenistwo umysłowe, ta ideowa nieruchawość i ciasnota są ich największą winą. Religia swoją wielowiekową bezzadnością pod tym względem sama siebie zdyskredytowała i nie ma co się dziwić przeciwstawnej skrajności, w którą popadła Europa a następnie inne kontynenty – przeobrażaniu społeczeństwa środkami wyłącznie mechanicznymi, przy całkowitym zaniechaniu duchowego aspektu tego procesu. Nie ma też oczywiście powodu dziwić się rezultatom – wstrząsom, jakich świat nie widział, rozmiarom ofiar, jakie nie pojawiały nigdy się nawet w malignie, i takiemu upadkowi moralnemu, że sama jego możliwość w XX wieku do dziś dla wielu ludzi stanowi mroczną i tragiczną zagadkę. Na stare religie w znacznym stopniu spada

odpowiedzialność za głębię i uporczywe trwanie kolejnego etapu bezreligijności, za duchowy los milionów ludzi, którzy w imię walki o sprawiedliwe urządzenie świata przeciwstawiali się religii jako takiej i w ten sposób wyrwali korzenie swego bytu z łona światowej duchowości. A przecież prawdziwa działalność religijna jest swego rodzaju służbą społeczną, prawdziwa zaś służba społeczna jest zarazem działalnością religijną. Żaden akt religijny, nawet poświęcenie anachorety, nie może być izolowany od wspólnoty, oddzielony od pracy na rzecz powszechnego oświecenia i żadna działalność społeczna, oprócz demonicznej, nie może być pozbawiona wpływu na zwiększenie ilości dobra na świecie, to znaczy nie mieć sensu religijnego. Puls sumienia społecznego, czynne społeczne współczucie w cierpieniu i współudział w radości, nieustające praktyczne wysiłki na rzecz przekształcenia społecznego organizmu ludzkości to druga cecha Róży Świata odróżniająca ją od dawnych religii.

Trzecia różnica to dynamika jej poglądów. Istniały już religie, którym nieobce były wyobrażenia o metahistorii⁸: judaizm, wczesne chrześcijaństwo, ale tylko w odległych od nas i przy tym krótkich okresach swego rozwoju próbowały one pojąć duchowy sens bieżącego procesu historycznego. W tych niedługich, na wpół zapomnianych epokach zadziwiające objawienia Apokalipsy pozostały dla ludzkich oczu zakryte zasłoną alegorii i niedomówień; szyfr symboli dopuszczał najrozmaitsze interpretacje. Nie doszło do uświadomienia sobie istoty procesu historycznego. Doświadczenie historyczne było jeszcze niewielkie i ograniczone, horyzont geograficzny – znikomy, rozum mistyczny nie był przygotowany do wnikania w wewnętrzne prawidłowości metahistorii i niewiarygodną złożoność Szadanakaru. Ale pojawienie się Róży Świata poprzedzała era hegemonii nauki, która od podstaw zachwiała wizją świata, narodów, kultur i ich losów. Poprzedzała ją jeszcze coś innego – epoka głębokich przełomów i tąpnięć społecznych, epoka rewolucji i wojen planetarnych. Oba porządki tych zjawisk spulchniły pokłady, które przez wiele wieków trwały w bezruchu. W głębę rozrytą żelaznymi zębami katastrof historycznych padały ziarna objawienia metahistorycznego. I oto przed duchowym postrzeganiem odsłonił się system światów różnoznacznych, gwałtownie zmierzający ku olśniewającemu celowi, z wieku na wiek, z dnia na dzień uduchowiającemu i przeobrażającemu się. Zaczynają prześwitywać kolejne nadchodzące epoki, a każda z nich w całej swojej niepowtarzalnej swoistości, w splocie rywalizujących w niej pierwiastków metahistorycznych. Róża Świata dąży do tego, aby zostać dziedziczką, pomnożycielką i interpretatorką tego poznania. Jako wspólnotowy mistyczny rozum żyjącej ludzkości Róża Świata będzie dociekać istoty procesu historycznego w jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, aby przejąć nad nim twórcze kierownictwo. Jeśli nawet można będzie mówić o jakichś dogmatach w jej doktrynie, to będzie to dogmatyka

8 Termin być może zaczerpnięty przez D.A. od S. Bulhakowa; spotykany także u N. Bierdiajewa.

głęboko dynamiczna, wieloaspektowa, zdolna do dalszego wzbogacania się i rozwoju, do długotrwałego samodoskonalenia.

Wynika stąd jeszcze jedna, czwarta cecha wyróżniająca Różę Świata: perspektywa kolejnych stojących przed nią zadań duchowo-historycznych, zupełnie konkretnych i z zasady wykonalnych. Wyliczę jeszcze raz najbliższe z nich: zjednoczenie kuli ziemskiej w Federację Państw z istniejącą nad nią kontrolną instancją etyczną; upowszechnienie dobrobytu materialnego i wysokiego poziomu kulturalnego wśród ludności wszystkich krajów; wychowanie pokoleń ludzi uszlachetnionych; zjednoczenie kościołów chrześcijańskich i utworzenie dobrowolnej unii ze wszystkimi religiami o świetlanej dążności; przekształcenie planety w ogród, państw zaś w braterstwo. Ale to tylko pierwsze w kolejności zadania. Ich realizacja otworzy drogę do realizacji zadań jeszcze poważniejszych: do uduchowienia przyrody.

A zatem: interreligijność, uniwersalizm dążeń społecznych i ich konkretny wymiar, dynamizm poglądów i konsekwencja w podejmowaniu ogólnoswiatowych zadań dziejowych oto cechy odróżniające Różę Świata od wszystkich religii i kościołów przeszłości. Bezkrwawe drogi, bezbolesne reformy, dobroliwość i łaskawość wobec ludzi, rozprowadzane wokół przyпіływy duchowego ciepła to są cechy odróżniające ją od wszystkich ruchów polityczno-społecznych przeszłości i współczesności.

Istota państwa, rzecz jasna, jak też oblicze moralne społeczeństwa nie może zostać przeobrażone w jednej chwili. Natychmiastowa i całkowita rezygnacja z przymusu to utopia. Ale czynnik ten będzie zanikał w czasie i przestrzeni społecznej. Każda dyscyplina składa się z elementów przymusu i uświadczenia, i od wzajemnego stosunku tych dwóch elementów zależy ten czy inny rodzaj dyscypliny. Największy procent przymusu i prawie zupełny brak uświadczenia cechuje gospodarkę niewolniczą, więzienia i obozy koncentracyjne. Niewiele większy procent uświadczenia występuje w musztrze wojskowej. Następnie, w miarę zanikania elementu przymusu w systemach dyscyplinarnych, będzie wzrastać i zastępować go kategoryczny imperatyw samodyscypliny. Nowa pedagogika oparta zostanie na kształtowaniu właśnie tego impulsu. O jej zasadach i metodach, jak też o metodach reedukacji i odrodzenia moralnego przestępców mowa będzie później, w jednym z ostatnich rozdziałów. Ale już teraz, jak myślę, jest jasne, że bodziec przymusu zewnętrznego zacznie obumierać najszybciej w wewnętrznych, koncentrycznych kręgach Róży Świata, jako że te wewnętrzne kręgi zapelniać będą ludzie, którzy bez reszty związali swoje życie z jej zadaniami i etyką i nie wymagają już zewnętrznego przymusu. Właśnie tacy ludzie będą stanowić jej sumienie i kćóz, jeśli nie oni, powinien zająć miejsce w Najwyższym Zgromadzeniu?

Czyż można przeceniać wychowawcze znaczenie takich instytucji społecznych, jeśli w społeczeństwie działają i sprawują najwyższą władzę ludzie najgodniejsi, nie ci, u których popęd woli uległ hipertrofii kosztem innych zdolności duszy i których siła polega na obojętnym stosunku do stosowanych środków, ale ci, u których

harmonijnie rozwinęły się wola, rozum, powstała obfitość miłości, a czystość myśli i głębokie doświadczenie życiowe połączyły się z oczywistymi zaletami ducha, ci, których nazywamy świętobliwymi. Całkiem niedawno oglądaliśmy przykład tego: widzieliśmy czas przeznaczeń Indii i wielkiego duchem Gandhiego. Patrzyliśmy na zdumiewające widowisko: człowiek niedysponujący żadną władzą państwową, któremu nie podlegał żaden żołnierz ani nawet służący, człowiek pozbawiony dachu nad głową i chodzący jedynie z opaską na biodrach, stał się duchowym i politycznym przywódcą milionów ludzi i jedno jego ciche słowo wystarczało, ażeby miliony te zjednoczyły się w bezkrwawej walce o wyzwolenie swego kraju, a przelanie krwi wroga pociągało za sobą powszechny indyjski post i żałobę. Łatwo sobie wyobrazić, jak tragicznie zdeformowałyby się dzieje narodu hinduskiego, gdyby zamiast tego ascety – bojownika duchowego – w decydującym momencie w charakterze przywódcy wystąpił człowiek o jednostronnie rozwiniętej, nieokiełznanej woli, typu Mussoliniego czy Stalina, tak zwana silna osobowość, mistrz demagogii i intrygi politycznej, maskujący tyradami o dobru narodu swoje prawdziwe oblicze despoty! Jak wspaniale grałby on na najniższych instynktach narodu, na zrozumiałej nienawiści do okupantów, na zawiści wobec bogatych; jakie fale ognia i krwi przetoczyłyby się przez Indie, zatapiając wyspy wyższej świadomości etycznej, przez tysiące lat utrwalanej i piastowanej przez najlepszych synów wielkiego narodu! I jaka tyrania w wyniku tego zapanowałaby w tym umęczonym kraju, wykorzystując skłonność tego narodu do posłuszeństwa, wytworzoną przez wieki niewolnictwa! Gandhi skierował wyzwolenczy i twórczy entuzjazm narodu na inną drogę. To pierwszy w historii najnowszej przykład tej siły, która stopniowo zastąpi miecz i knut władzy państwowej. Siłą tą jest tchnące życiem zaufanie narodu pokładane w człowieku, który udowodnił swoją wyższość moralną, jest nią autorytet świętobliwości.

Przewiduję mnóstwo sprzeciwów. Oto jeden z nich: rzeczywiście tak było, ale było to możliwe w Indiach z ich szczególnymi cechami, z przeszłością religijną liczącą cztery tysiąclecia, z wysokim poziomem etycznym tego narodu. Inne narody mają inne dziedzictwo i doświadczenie Indii nie może zostać przeniesione do żadnego innego kraju.

To prawda, każdy naród ma własne dziedzictwo. Dziedzictwo Indii doprowadziło do tego, że ich naród został pionierem na tej drodze. Ale prawie każdy naród widział u siebie albo w sąsiedztwie dyktatury i tyranie wszelkich maści i w rozmaitych maskach ideologicznych i może się przekonać, w odmęty jakich katastrof wciąga kraj ślepa władza, pozbawiona bogobojności, niespełniająca wymogów choćby średniego poziomu moralnego. A przecież sprawowanie kierownictwa państwowego to wyczyn duchowy i średni poziom moralny do tego nie wystarczy. I o tym też przekonało się wiele narodów, ponieważ tam, gdzie zamiast dyktatorów następują po sobie partie polityczne, tam jak w kalejdoskopie zmieniają się dyplomaci i generałowie, przywódcy i adwokaci, demagodzy i kombinatorzy – jedni chciwi, drudzy ideowi,

ale żaden z nich nie jest w stanie tchnąć w życie kraju nowego, czystego i gorącego ducha i rozwiązać palących problemów ogólnonarodowych. Żadnemu z nich nikt nie może ufać bardziej niż sobie, ponieważ żaden z nich nawet nie pomyślał o tym, czym jest duchowość i świątobliwość. Są to błędne cienie, opadłe liście niesione przez wiatr historii. Jeżeli Róża Świata nie wkroczy we właściwym czasie na ogólnoludzką arenę, liście te rozwieje ognisty podmuch zdecydowanych i bezlitosnych dyktatur; jeśli zaś Róża Świata pojawi się, to one opadną, roztopią pod wschodzącym słońcem wielkiej idei, ponieważ serce narodu ufa bardziej jednemu świątobliwemu niż setce współczesnych polityków.

Natomiast znacznie potężniejsze i jaśniejsze będzie oddziaływanie na naród i jego losy, jeżeli trzy zdolności – świątobliwość, dar wieszczczenia religijnego i genialność artystyczna – połączą się w jednym człowieku.

Wiele, jakże wiele przejawów religii w całości należy do jej minionych stadiów. Jednym z takich przejawów jest, jak się zdaje, panowanie nad umysłami ściśle określonych, apodyktycznie sformułowanych, niepodlegających rozwojowi, statycznych dogmatów. Doświadczenie ostatnich wieków i dojrzewanie osobowości doprowadziło do tego, że świadomość ludzka odczuwa względność i ograniczoność wszelkiej dogmatyki. A zatem mimo antydogmatyzmu też Róży Świata, mimo nasycenia ich duchem dynamiki religijnej, wiele osób wzdraga się przed przyjęciem nawet tych ustaleń. Natomiast całe rzesze ludzi odezwią się na jej wezwanie, gdy będzie ono apelować nie tyle do intelektu, ile do serca, rozbrzmiewając w genialnych dziełach słowa, muzyki, teatru, architektury. Wizje w dziełach sztuki są pojemniejsze i bardziej wielostronne niż aforyzmy teozofematów czy rozważania filozoficzne. Pozostawiają wyobraźni więcej swobody, umożliwiają każdemu interpretację doktryny w taki sposób, jaki jest naturalny i zrozumiały właśnie dla jego indywidualności. Objawienie płynie wieloma nurtami, a sztuka, jeśli nie jest najczystszy z nich, to jest najszerszym nurtem. Dlatego wszystkie rodzaje sztuki i piękny rytuał przyodzieją Różę Świata w dźwięczące i świetliste szaty. Właśnie dlatego na czele Róży Świata najłatwiej będzie stanąć temu, kto skupi w sobie trzy największe dary: dar religijnego wieszczczenia, dar świątobliwości i dar artystycznej genialności.

Człowiek taki, być może, nie pojawi się albo pojawi nierychło. Możliwe, że przywództwo Róży Świata obejmie nie on, lecz zespół najbardziej szacownych ludzi. Ale gdyby w naszych czasach Opatrzność wysłała takiego wielkiego ducha – a Ona go już wysłała – i demoniczne siły nie zdołałyby go odsunąć, byłoby to największym szczęściem dla całej kuli ziemskiej. A to dlatego, że nikt nie może wywierać silniejszego i bardziej zbawiennego wpływu na ludzkość niż genialny artysta słowa, który staje się mistrzem duchowym i człowiekiem świątobliwym, i którego na szczyty światowego przywództwa wynoszą przeobrażenia społeczne i kulturowe. Właśnie takiemu i tylko takiemu człowiekowi może zostać powierzone niezwykle i niebywałe w historii zadanie: etyczna kontrola nad państwami

Federacji oraz przewodzenie narodom w przekształcaniu tych państw w ogólno-ludzkie braterstwo.

Nas, Rosjan spotkała okrutna kara za bezwarunkowe zaufanie okazane silnemu człowiekowi, którego wielu z nas wzięło za dobroczyńcę ludzkości. Nie powtórzmy tego błędu! Istnieją cechy bezdyskusyjnie odróżniające człowieka godnego takiej misji od złego geniusza narodu. Ten ostatni jest ponury, ten pierwszy zaś radosny dzięki duchowej radości. Jeden umacnia swą władzę kaźniami i karami, drugi nigdy, żadnego dnia nie będzie domagał się władzy, a gdy obejmie ją, nie przeleje niczyjej krwi. Jeden na całym poddanym sobie terytorium rozprzestrzenia kult własnej osoby, dla drugiego wysławianie siebie jest śmieszne i wstrętne. Jeden jest nieprzystępny, drugi otwarty na wszystkich. Jednym miota szaleńcza żądza życia i panowania, a w obliczu niebezpieczeństw, które podsuwa mu wyobraźnia, ukrywa się za niedostępnymi murami, drugi jest wolny od życiowych pokus, a gdy grozi mu niebezpieczeństwo, jest spokojny, ponieważ ma czyste sumienie i niezachwianą wiarę. To antypody, nosiciele dwóch pierwiastków nie do pogodzenia.

W Najwyższym Zgromadzeniu wybraniec taki byłby oczywiście pierwszym wśród równych. We wszystkim opierałby się na współpracy z wieloma innymi ludźmi i wielu innych ludzi kontrolowałoby jego działalność. Swoje nadzwyczajne stanowisko mógłby objąć tylko w wyniku surowej próby. Takiej godności nie przystoi ani młodość, ani nawet wiek dojrzały – jedynie starość. Pokusy i walka namiętności powinny być dawno przezwyciężone. Co do samego wyboru, to, jak mi się zdaje, mógłby on zostać dokonany tylko podczas takiego czy innego plebiscytu. Przy tym, również w latach rządów najwyższego przewodnika, Zgromadzenie nadzorowałoby jego poczynania. Zejście przezeń z właściwej drogi powodowałoby przekazanie władzy innej godniejszej osobie. W ogóle związane z tym zagadnienia mogłyby być starannie przemyślane, niebezpieczeństwa – przewidziane, rozwiązania – uważnie ocenione i następnie udoskonalone. Ale na razie najwyższy przewodnik będzie bezbłędnie podążał po wyznaczonej drodze, będąc mistycznym łącznikiem między żyjącą ludnością i światem na wysokościach, objawicielem woli Opatrzności, doskonałicielem miliardów ludzi i obrońcą ich dusz. Takiemu człowiekowi można bez obawy powierzyć pełnię władzy duchowej i cywilnej.

Niektórzy powiedzą mi, że tacy ludzie pojawiają się raz na pięćset lat. A ja powiem więcej, osobowość takiego formatu i przy tym dysponująca takim właśnie zespołem cech nie mogła pojawić się nigdy wcześniej. Einstein nie mógłby pojawić się wśród Maorysów XIX wieku; Dostojewskiego – takiego, jakiego znamy, na próżno byłoby spodziewać się wśród poddanych Tutanchamona czy Teodoryka. Posiadałby wówczas inny zespół cech, a wielu z nich nie mógłby ujawnić w swoim życiu. Człowiek, o którym mówię, nawet w nieodległej od nas epoce nie mógłby wykorzystać powierzonych mu darów duchowych i jego współcześni zupełnie nie znaliby jego prawdziwego formatu i możliwości. Wydaje się, że wraz z rozwojem

obecnej epoki niezbędne warunki już się rysują, Róża Świata zaś tak je dopełni, by klimat społeczny i kulturalny zapewnił najwyższemu przewodnikowi łańcuch następów godnych tej korony.

Można też powiedzieć, że nawet wszystkich tych wymienionych talentów jest zbyt mało do tak niezwyklej działalności; potrzebny jest do niej pojemny, trzeźwy i praktyczny rozum państwowy. Tak, jakżeby inaczej. Takiemu działaczowi wypadnie stykać się z tysiącami różnorodnych problemów, będzie mu potrzebna także wiedza, doświadczenie i erudycja – ekonomiczna, finansowa, prawnicza, a nawet techniczna. Ale wiek Arystotelesa dawno już minął. W naszych czasach umysły o pojemności encyklopedycznej są nie do pomyślenia. A więc działalność tego, o kim mówię, właśnie dlatego jest nie do pomyślenia w oderwaniu od rozumu wspólnotowego, od Najwyższego Zgromadzenia. W tej działalności uczestniczyć będą najgłębsze umysły, ludzie świadomi sprzeczności życia państwowego, specjaliści ze wszystkich dziedzin wiedzy. Od najwyższego przewodnika wymaga się nie erudycji encyklopedycznej i nie przyziemnego instynktu gospodarowania, lecz mądrości. Mądrości, która rozumie ludzi od pierwszego wejrzenia, która w najbardziej złożonych zagadnieniach od razu odnajduje ich istotę i która ani na moment nie głuchnie na głos sumienia. Poziom moralny najwyższego przewodnika powinien być tak wysoki, żeby miłość i zaufanie do niego zastępowały inne metody panowania. Przymus, przemoc wobec cudzej woli to dla niego udręka, posługuje się nimi tylko w bardzo rzadkich przypadkach.

A mimo wszystko jest to tylko jeden z wariantów tego, co jest możliwe, chociaż – według mego osobistego poglądu – najbardziej pożądany. Łatwo można wyobrazić sobie także coś innego: takie kierowanie Różą Świata, takie stosunki ze zgromadzeniami prawodawczymi i z rządem Federacji, przy których zasady zespołowości nikt i nic nie będzie ograniczać. Czas opracowywania przyszłej konstytucji to sprawa odległej przyszłości i nie nam, lecz naszym szczęśliwym potomkom przypadnie wybór jednego z wielu wariantów.

Czy jednak nie jest to teokracja? Nie lubię słowa „teokracja”. Teokracja to bogowładztwo, rządy Boże; posługiwanie się tym słowem odnośnie jakichkolwiek urzędów społecznych czy państwowych z punktu widzenia ateisty jest absurdem, a z punktu widzenia człowieka wierzącego świętokradztwem. Żadnej teokracji historia nie zna i znać nie może. Kościelne państwo papieża czy dalajlamów należy nazywać hierokracją, a nie teokracją. Natomiast ustrój, o którym mówię, jest całkowicie przeciwny wszelkiej hierokracji: nie kościół roztopia się w państwie, które go pochłania i w jego imieniu panuje, ale po prostu cały konglomerat państw i orszak kościołów stopniowo roztopia się w ogólnoludzkim braterstwie, w interreligijnym kościele. I nie najwyżsi hierarchowie kościoła zajmują stanowiska w najwyższych organach – prawodawczych, wykonawczych i kontrolnych – lecz najlepsi przedstawiciele wszystkich narodów, wszystkich wyznań, wszystkich warstw społecznych, wszystkich specjalności.

Ani biurokracja, ani monarchia, ani oligarchia, ani republika, lecz coś nowego, jakościowo odmiennego od wszystkiego, co było dotąd. To światowy ład organizacyjny narodów, instytucja dążąca do uświęcenia i rozświecenia całego życia światowego. Nie wiem, jak wówczas nazwą tę organizację narodów świata, ale rzecz nie w nazwie, lecz w istocie zjawiska. A istotą ową jest praca na rzecz uduchowienia człowieka, uduchowienia ludzkości, uduchowienia przyrody.



ROZDZIAŁ 2

STOSUNEK DO KULTURY

Powoli, po trochu pojawia się nowy stosunek do wszystkiego. Istnienie Róży Świata nie miałoby ani krzty sensu, gdyby powtarzała ona tylko to, co powiedziano już wcześniej. Nowy stosunek do samego siebie, nowe pojmowanie sensu zjawisk są wynikiem dosłownie wszystkich zjawisk, od wielkich do małych: procesu kosmicznego i procesu historycznego, światowych praw i powiązań między światami różnomaterialnymi, stosunków międzyludzkich i dróg rozwoju osobowości, państw i religii, królestwa zwierząt i żywiołów przyrody – jednym słowem wszystkiego, co zawarte jest w pojęciu „kultura” i wszystkiego, co zawarte jest w pojęciu „natura”. Pojawia się nowy stosunek do wszystkiego, ale nie znaczy to, że każdy dawny stosunek do tych zjawisk traci wartość i zostaje zniesławiony; w wielu przypadkach wskazuje się jedynie na taki punkt widzenia, przy którym różne dawne sposoby podejścia do danych zagadnień mogą tracić swój kontrastowy aspekt, zaczynają wzajemnie się dopełniać i powinny być odczytywane jako odmienne porządki aspektów jednej i tej samej albo wielu rzeczywistości. Nierzadko jest to stosowane na przykład przy rozpatrywaniu dawnych religii i związanych z nimi realiów.

W istocie właśnie temu nowemu stosunkowi do tych zagadnień poświęcona jest cała książka; tego rodzaju problematyka jest zbyt obszerna i złożona, żeby dało się ją naszkicować, choćby pobieżnie, w jednym rozdziale. Niniejszy rozdział zatytułowany jest *Stosunek do kultury*, następny *Stosunek do religii*, ale nie należy oczekiwać, że zostaną w nich szeroko omówione te tematy. Nowym pojmowaniem różnych dziedzin kultury, różnych zjawisk historycznych, różnych systemów religijnych, a także różnych królestw przyrody nasycone są wszystkie księgi (12) niniejszej pracy. Pierwsze rozdziały stanowią ekwiwalent swego rodzaju wstępu. Zawierają konspekt wykładu niektórych podstawowych zasad, nic więcej.

Przodującą dziedziną kultury w naszym wieku jest nauka. Naukowa metoda poznania pretenduje do hegemonii, toteż niniejszy rozdział zaczyna się właśnie od charakterystyki stosunku Róży Świata do metody naukowej. Należy powiedzieć z góry i bez ogródek: niezależnie od ilości iluzji tworzonych przez entuzjastów metody naukowej, nigdy nie była ona i nie może być jedyną metodą poznania ani jedyną metodą opanowania materii, nie mówiąc już o metodzie artystycznej, z którą metoda naukowa wyniosłe i niechętnie dzieli obecnie swoje przodujące miejsce.

Trzeba przypomnieć, że już dawno stworzone zostały podwaliny takich metod poznania i opanowania tego, co materialne, których przyswojenie związane jest nierozzerwalnie z duchowym samodoskonaleniem człowieka, z rozświetleniem jego etycznego oblicza. Pojawi się przed nami możliwość powstania nawet takich etapów historycznych, kiedy te metody osiągną pewien rodzaj prymatu. Mam na myśli nie tyle zdyskredytowane wskutek wielu nieporozumień pojęcie magii i okultyzmu, co pojęcie aktu duchowego. Różne systemy i szkoły tego typu występują we wszystkich wysokorozwiniętych religiach. Przez wieki opracowując praktyczne sposoby oddziaływania woli na ludzki organizm i na zewnętrzną materię i kształcąc u człowieka tę umiejętność, dopiero po jego długotrwałym przygotowaniu moralnym i wszechstronnej próbie odporności na pokusy, religie wynosiły i wynoszą setki, a może nawet tysiące ludzi do rangi tego, co po prostaku nazywane jest cudotwórstwem. Te metody, niesłychanie pracochłonne i wywołujące zacieklą nienawiść współczesnych filistrów, wyróżnia jedna zasada obca nauce: zasada doskonalenia i transformacji własnej istoty, wskutek czego fizyczna i eteryczna powłoka określonej osoby staje się bardziej niż u nas podatna, elastyczna, bardziej posłuszna narządom woli. Droga ta prowadzi do takich rzekomo legendarnych zjawisk, jak cielesne przechodzenie przez przedmioty trójwymiarowego świata, lewitacja, chodzenie po wodzie, błyskawiczne pokonywanie ogromnych odległości, leczenie nieuleczalnie chorych i od urodzenia niewidomych i wreszcie – jako najwyższe, nadzwyczaj rzadkie osiągnięcie – wskrzeszanie zmarłych. Tutaj oczywiście jest opanowanie praw naszej materialności i podporządkowanie niższych z nich wyższym, nam jeszcze nieznanym. I jeżeli w XX stuleciu większość z nas zdąży przeżyć całe życie nigdy nie zetknąwszy się z niepodważalnymi przypadkami podobnych zjawisk, to nie wynika z tego, że takie zjawiska nie występują i z zasady nie są możliwe, a tylko to, że warunki epoki bezreligijnej – kulturowe, społeczne i psychologiczne – do takiego stopnia utrudniają zbadanie i przyswojenie tych metod (zwłaszcza na Zachodzie, a tym bardziej w krajach obozu socjalistycznego), iż sprowadzają ilość takich przypadków do nielicznych wyjątków. Pewne doprawdy decydujące dla ludzkości wydarzenia, które wydarzyły się około dwa tysiące lat temu – o nich będzie mowa później – spowodowały, że skierowanie nie pojedynczych osób, lecz rzesz ludzkich na tę drogę poznania i opanowania materii okazało się niemożliwe. Później klimat psychologiczny epoki bezreligijnej coraz bardziej hamował ruch w tym kierunku. Ale nie ma podstaw do myślenia, że ta droga zawsze będzie tak powolna i pracochłonna – epoka bezreligijna nie jest wieczna, żyjemy pod jej koniec. Trudno wyobrazić sobie coś tak ciężkiego, niedoskonałego, prymitywnego i żalosego jak osiągnięcia współczesnej techniki w porównaniu z osiągnięciami metod, o których mówię. Gdyby na ich rozwój i przyswojenie przeznaczono takie środki i takie niezliczone rezerwy ludzkie, jakie pochłania dzisiaj rozwój metod naukowych, to wizerunek życia ludzkiego, naszej twórczości, wiedzy, ładu społecznego i nasze oblicze moralne zmieniłyby się gruntownie. Klimat

psychologiczny epoki Róży Świata stworzy takie, jak nigdy dotąd, warunki rozwoju tych właśnie metod. Ale to sprawa przyszłości, przy tym niezbyt bliskiej. A dopóki nie jest to aktualne, powinniśmy głównie posługiwać się inną metodą, znacznie mniej doskonałą, która nie prowadzi daleko, ale obecnie wszędzie panuje.

Stąd też ogólny stosunek Róży Świata do nauki i techniki obecnego etapu historycznego. Skrętnie gromadząc fakty, wyprowadzając z nich takie czy inne prawidłowości, nie pojmując ani ich natury, ani ukierunkowania, a władając nimi bez możliwości przewidywania, do jakich wynalazków i wstrząsów społecznych doprowadzą odkrycia naukowe, nauka od dawna jest dostępna dla wszystkich, niezależnie od ich oblicza moralnego. Rezultaty mamy przed oczami i nad głowami. Najważniejszy z nich to fakt, że żaden człowiek na ziemi nie ma gwarancji, iż w dowolnej chwili na niego i jego współobywateli nie zostanie przez wysoce inteligentne umysły zrzucona bomba wodorowa lub inne, jeszcze bardziej oszałamiające osiągnięcie nauki. Oczywiście jest zatem, że jednym z pierwszych przedsięwzięć Róży Świata po objęciu przez nią kontroli nad działalnością państw będzie utworzenie Naczelnej Rady Naukowej, to znaczy takiego kolegium, które wyłoni wewnętrzne kręgi samej Róży Świata. Złożona z osób łączących duży autorytet naukowy z wysokim poziomem moralnym, Rada ta rozłoży kontrolę nad całą działalnością naukową i techniczną, ukierunkowując się na planowanie i bezpieczeństwo.

Wszystko, co odnosi się do ochrony życiowych interesów ludzkości rysuje się, ogólnie rzecz biorąc, dostatecznie wyraźnie – w każdym razie co do zasad – i chyba nie ma potrzeby zatrzymywać się nad tym. Jeśli zaś chodzi o problemy związane z ochroną interesów królestwa zwierzęcego i roślinnego, to zostaną one omówione w tych rozdziałach książki, które są poświęcone światu zwierząt i światom stychały. A to dlatego, że jest to bodajże jedyna dziedzina, w odniesieniu do której poglądy Róży Świata nie dają się pogodzić z opinią większości współczesnych uczonych. Sprzeczność ta zresztą nie dotyczy żadnych twierdzeń naukowych, a tylko niektórych praktycznych, roboczych metod naukowych, które nie tylko dla Róży Świata, ale również dla prawie każdej doktryny religijno-moralnej, a nawet prawie każdego człowieka o nastawieniu humanistycznym, są nie do pogodzenia z elementarnymi postulatami dobra.

Poza tymi czysto metodologicznymi sprzecznościami nie ma i nie może być między Różą Świata i nauką żadnych punktów zapalnych. Nie mają gdzie się ze sobą zderzać. Dotyczą **różnych** przedmiotów. Nieprzypadkowa jest zapewne ta okoliczność, że większości wybitnych uczonych XX wieku erudycja naukowa nie przeszkadzała zachowywać osobistej religijności, wyznawać, a nawet tworzyć klarownych spirytualistycznych systemów filozoficznych. Einstein i Planck, Pawłow i Lemaître, Eddington i Milne, bez względu na sferę własnych dociekań naukowych, każdy we właściwy sobie sposób, pozostawał człowiekiem głęboko wierzącym. Rzecz jasna, nie biorę pod uwagę rosyjskich uczonych okresu radzieckiego, jako że

niektórzy z nich zmuszeni byli deklarować swój materializm, nie opierając się na przesłankach filozoficznych, lecz pod naciskiem innych okoliczności, powszechnie rozumiały. Ale zostawmy w spokoju filozofię i politykę: w dziedzinach o charakterze czysto naukowym Róża Świata nie twierdzi nic takiego, czemu nauka ma prawo zaprzeczać. Widoczne jest coś innego – milczenie nauki o tych realiach, które afirmuje Róża Świata. Ale to też nie jest zjawiskiem długotrwałym. Co się tyczy zadań społecznych, kulturalnych, etycznych, do których rozwiązania dążyć będzie Róża Świata, to nie można sobie wyobrazić, żeby spotkały się one z jakimiś istotnymi zastrzeżeniami ze strony autorytetów naukowych.

Myślę, że przedmiotem dyskusji będzie wówczas już nie sama idea planowania nauki, lecz granice tego, co zostanie objęte planowaniem i jego praktyka. Poniekąd nie bez znaczenia będą zapewne specjalistyczne badania nad praktyką planowania i koordynacją prac naukowych w niektórych państwach połowy XX stulecia. Ale zastosować można będzie tylko niektóre ich szczegółowe ustalenia, choćby dlatego, że Federacja składać się będzie z wielu państw, dużych i małych, niedawno zjednoczonych, będących na różnych etapach rozwoju ekonomicznego, ukształtowanych w łonie różnych kultur i mających różne systemy społeczno-polityczne. Niektóre z tych systemów, odznaczające się większym uspołecznieniem stosunków ekonomicznych, będą łatwiej włączane do ogólnego, nieuchronnego procesu socjalizacji ogólnoswiatowej, inne zaś, przywykłe do anarchii w produkcji, włączane będą do tego procesu stopniowo. Wszystko to, jak również różnorodne typy kultur w pewnym okresie będzie stwarzać nadzwyczajną mozaikę światowej ekonomii i oddziałujących na siebie systemów kulturowych. Długo też będą jeszcze dawać o sobie znać zastarzałe antagonizmy narodowe. Nie od razu uda się zrównoważyć i pogodzić potrzeby poszczególnych krajów i określonych warstw ludności, na przykład ludzi zainteresowanych rozwojem tu czy tam w pierwszej kolejności takiej czy innej gałęzi przemysłu, czy też eksportem własnej produkcji dokądkolwiek. Od tych, którzy staną na czele Rady Naukowej i Róży Świata, podjęcie właściwego rozwiązania tych problemów wymagać będzie pewnej nowej cechy psychicznej: przewyciężenia dominującego w każdym z nich lokalnych, dość jeszcze naturalnych sentymentów kulturowych i rasowych, całkowitego wyzbycia się narodowej stronnictwości. Ilu wysiłków, jakiego autorytetu, a nawet samozaparcia potrzeba będzie choćby do tego, aby złagodzić zastarzałe antagonizmy, na przykład angielsko-arabski, rosyjsko-polski czy ormiańsko-turecki! Jakim postępowaniem Niemcy, Anglicy, Rosjanie czy Amerykanie zasłużą na zapomnienie owej wrogości, jaką wzbudzili w tyłu narodach? Jakie środki wychowawcze będą potrzebne do tego, aby usunąć kompleks urażonej miłości własnej, który wielu małym i średnim narodom przeszkadza odnosić się przyjaźnie do swoich sąsiadów i przeradza się w agresywne marzenia o osiągnięciu własnej wielkości kosztem innych? Ale to tylko jedna strona zadania. Wiele państw zachodnich będzie musiało zlikwidować nawet najmniejsze ślady swojego dawnego

poczucia wyższości nad innymi. Rosjanin będzie musiał zrozumieć, że jego kraj nie jest koroną stworzenia, a w każdym razie nie jest lepszy od wielu innych. Anglik będzie zmuszony do ogromnej pracy wewnętrznej, żeby wyzbyć się mimowolnego przedkładania interesów Wysp Brytyjskich nad interesy mieszkańców Indonezji czy Tanganiki. Od Francuza wymagać się będzie zdolności do przejmowania się interesami Paragwaju czy Tajlandii w nie mniejszym stopniu niż swoimi własnymi. Chińczyk i Arab będą musieli wyzwolić swe serca i umysły od wyhodowanej przez tyle wieków – niegdyś uzasadnionej, a obecnie przestarzałej – nieufności wobec Europejczyków i nauczyć się zwracać nie mniejszą uwagę na interesy Belgii czy Grecji niż na interesy Rehe czy Sudanu. Mieszkańcy republik latynoamerykańskich będą zmuszeni wyzbyć się nawyku troski tylko o siebie, uzalania się wyłącznie nad sobą i wziąć udział w podziale dóbr światowych z uwzględnieniem potrzeb Afganistanu, Kambodży i nawet Jakucji. A obywatele Stanów Zjednoczonych będą musieli przypomnieć sobie, że mienią się chrześcijanami, a chrześcijaństwo jest nie do pogodzenia ze zwierzęcą nienawiścią do jakiegokolwiek rasy, nawet czarnej. To jest trudne, oczywiście niezwykle trudne, jednakże uchronić się przed wojnami i tyranią można tylko dzięki tej psychologicznej samoprzeróbce. I jest całkiem oczywiste, że żaden człowiek nie może spodziewać się udziału w pracy ogólnoswiatowych organów planowania, jeżeli nie dokona na sobie takiej operacji. Trzeba będzie uczyć się nawet samowyrzeczenia narodowego, naturalnie nie ofiary z własnej krwi ani ofiary z życia swych dzieci, lecz ofiary płaconej w dolarach. Najbogatszym krajom wypadnie bowiem w jakiejś mierze podzielić się swymi rezerwami z narodami Wschodu i Południa, i do tego podzielić się bezinteresownie, bez żadnych nadziei zrobienia udanego interesu na tej pomocy. Mówiąc krócej, wszyscy należący do kierownictwa Róży Świata powinni umieć czuć się przede wszystkim członkami całego Kosmosu, następnie członkami ludzkości, a dopiero potem członkami narodu. A nie na odwrót, jak nas uczono i dotąd uczą.

A to dlatego, że generalnym celem Róży Świata, a dokładniej, celem tego gigantycznego procesu dziejowego, który rozpoczął się przed tysiącleciami i którego Róża Świata jest zaledwie etapem, celem tego procesu jest rozświecenie Szadana-karu, a najbliższym etapem obecnej epoki stworzenie takiej sytuacji, by należny człowiekowi dobrobyt materialny, zwykle pomyślne życie i elementarnie etyczne stosunki między ludźmi zaistniały wszędzie, nie pozostawiając poza swym zasięgiem żadnego człowieka. Zasada zapewnienia każdemu bez wyjątku człowiekowi możliwości pracy zawodowej, wypoczynku, spokojnej starości, mieszkania na przyzwoitym poziomie, korzystania ze wszystkich swobód demokratycznych, zaspokojenia podstawowych potrzeb materialnych i duchowych w szybkim tempie zacznie wchodzić w życie.

Nierychło, dopiero w ostatnich rozdziałach będę mógł omówić te konkretne przedsięwzięcia, ten system konsekwentnych reform, dzięki którym, jak sobie wyobrażam, zasady te mogą zastać wdrożone. Na razie mowa jest tylko o zasadach, by

ci, którzy nie odnoszą się do tych zasad z uznaniem, nie tracili czasu i sił na dalsze czytanie, a sympatycy pojęli wewnątrz duchowe Róży Świata, zanim zaczną rozmyślać nad drogami przekształcania tych ideałów w życie.

Taką zasadą jest stosunek Róży Świata do nauki i techniki, na tyle, na ile możliwe jest jej wyjaśnienie, nie wchodząc na razie w głębię metahistoryczną i transfizyczną. I taką też zasadą powinna być rola metody naukowej w najbliższych kolejnych epokach.

Minie kilka dziesięcioleci. Postępujący wzrost sił wytwórczych osiągnie taki poziom, który będziemy mieli prawo nazwać powszechnym dostatkiem. Warunki życia, w których żyją obecnie obywatele krajów przodujących, zapanują w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej. Przeznaczenie na cele pokojowe tych nieprawdopodobnych sum, które obecnie pochłaniają zbrojenia, nada postępowi ekonomicznemu prawie niewyobrażalne tempo. Okres powszechnego nauczania początkowego zastanie zapewne już wcześniej przedłużony we wszystkich krajach, później również powszechne nauczanie średnie zacznie być oceniane jako niewystarczające. Zakres inteligencji zrówna się z zakresem człowieczeństwa. Rozwój coraz nowszych środków łączności, powszechny dostęp do nich oraz ich komfort faktycznie zlikwidują problem przestrzeni międzynarodowej i międzykulturowej. Dzień roboczy, ulegając coraz większemu skróceniu, wyzwoli nowe rezerwy czasu wolnego. Fizjologia opracuje aparaturę, która wspierać będzie ludzki mózg w szybkim i trwałym zapamiętywaniu nabywanych informacji. Zacznie wydłużać się czas na wypoczynek. A zagadnienia, które obecnie bulwersują większość ludzi – sprawy gospodarki, organizacji i doskonalenia produkcji, techniki przemysłowej, dalszego udoskonalania wygod codziennego życia – stracą na ostrości. Jest nawet bardzo prawdopodobne, iż dla tych pokoleń niepojęte i dziwne będzie to, że ich poprzednicy mogli fascynować się i entuzjasmować, rozwiązując takie nudne i błahe problemy. Nadmiar sił zostanie zużyty na tworzenie wartości wyższego rzędu, ponieważ materialna podstawa życia nie będzie ulegała żadnym zakłóceniom, obejmując wszystko i w pełni trwale.

Problemy techniki i ekonomii przestaną przyciągać szczególną uwagę. Rozwiązywane będą przez odpowiednie zespoły, a opinii publicznej będą przedstawiane w nie większym zakresie niż teraz przedstawiane są zagadnienia zbiorowego żywienia czy wodociągów. Ludzkie zdolności zostaną skierowane ku czemuś innemu: ku temu, co podyktuje żądza wiedzy, miłość do wszystkiego, co żywe, potrzeba wyższych form twórczości i umiłowanie piękna.

Żądza wiedzy, niegdyś skłaniająca badaczy do wypraw na nieznane morza, do wędrówek po nieuczęszczanych lądach, pociągnie ich teraz – być może jeszcze przed nastaniem Róży Świata – najpierw w kierunku kosmonautyki. Ale obce planety są niegościnnie; po kilku badawczych ekspedycjach loty zostaną wstrzymane. I sama żądza wiedzy zacznie zmieniać swój kierunek. Opracowane zostaną systemy wychowania i odkrywania w istocie ludzkiej potencjalnie zdeponowanych w niej organów

duchowego wzroku, duchowego słuchu, pamięci głębokiej, zdolności do dowolnego oddzielania wewnętrznych innomaterialnych struktur człowieka od jego fizycznego ciała. Zaczną się podróże przez światy innomaterialne, przez odsłaniające się warstwy Szadanakaru. Będzie to wiek Magellanów Kosmosu, Kolumbów ducha.

A jaki system poglądów dotyczących ludzkiej osobowości, jej wartości, jej praw i powołań, dróg jej doskonalenia będzie sprzyjać wprowadzaniu nowego klimatu psychologicznego, przyspieszy nadejście tego złotego wieku?

Będzie mu sprzyjać to, że jednostka ludzka, mieszcząc w sobie jednorodne z Istotą Boską zdolności tworzenia i miłości, ma wartość absolutną. Natomiast jej wartość względna zależy od stadium jej drogi wstępującej, od sumy wysiłków – jej własnych i Opatrzności – poniesionych, aby osiągnąć to stadium, i od tego, w jakim stopniu uzewnętrznia ona w swym życiu owe zdolności Bogowspółtworzenia i miłości.

Ziemia odcinek kosmicznej, wstępującej drogi monady⁹ stanowi ten etap, na którym jej zdolności do tworzenia i miłości mogą już i powinny rozprzestrzeniać się na otaczające środowisko naturalne i sztuczne, doskonaląc je, to znaczy przewyżając w tym środowisku tendencję do izolowanej samorealizacji kosztem innych jej części i części. Zło tkwi właśnie w takiej tendencji, niezależnie od jej przejawów. Formy i rozmiary zła są różnorodne, ale jego podstawa jest zawsze taka sama: dążenie do samorealizacji kosztem wszystkiego pozostałego.

Dawne religie upatrywały miarę względnej wartości jednostki w stopniu przestrzegania przez nią określonego kodeksu religijno-etycznego. Religie o zabarwieniu ascetycznym jako jego najwyższy stopień uznawały świętość, a za jej najoczywistszy wzór służbę zakonną albo też męczeństwo za wiarę. Miłość przy tym ustępowała na drugi plan. Odwaga ascetyczna albo męczeńska prowadziła do aktu ofiary nie mocą miłości do ludzi i wszelkich form życia, ale mocą pragnienia zjednoczenia się z Bogiem i wybawienia od pośmiertnych męczarni. Oczywiście mam tu na uwadze tendencję dominującą, panujące nastawienie, nie zaś wzory takich zadziwiających mocarzy duchowych, apostołów miłości, jak św. Franciszek, Ramanudża czy Milarepa¹⁰. Choć jest to dla nas straszne, ale nawet wieczne męczarnie grzeszników

9 Monada – słowo pochodzące z języka greckiego, które oznacza substancję prostą, podstawową jednostkę. Monady były duchowe. Pojęcie to występuje w poglądach pitagorejczyków, w filozofii Mikołaja z Kuzy i jako kluczowe w systemie filozoficznym G.W. Leibniza (rozprawa *Monadologia*). Spotykamy go także w teoriach XIX i XX wieku. Zob. też definicję tego terminu podaną przez Andriejewa w jego *Krótkim słowniku*.

10 Św. Franciszek z Asyżu (właśc. Giovanni Bernardone, 1181 lub 1182–3 X 1228), syn kupca, po służbie na wojnie ślubował publicznie ubóstwo (1209). Założyciel wielkiego zakonu żebraczego, zadziwiał pobożnością, pomocą bliźnim, a także niezwykłą przyjaźnią ze zwierzętami i całą przyrodą. Kanonizowany przez Grzegorza IX już w 1228 r. D.A. będący miłośnikiem przyrody, wymienia go wśród „mocarzy duchowych”. Żywoć św. Franciszka z Asyżu, będący świadectwem epoki, spisał T. Celano. W Polsce biografia tego świętego ukazała się w różnych opracowaniach (ostatnio w 2016 r.). Ramanudża (sansk. Ramanuja ok. 1017– ok. 1137), filozof indyjski. Tradycję religijną Indii interpretował w duchu teistycznym (wszystko, co istnieje, jest emanacją Boga, który pobożnemu wyznawcy udziela łaski wyzwolenia). Główne dzieła: *Wedantasara* (Kwintesencja wedanty), *Wedartha-sagraha* (Kompendium treści wedanty). Milarajba (tak u D.A.), właśc. Milarepa (1040–1123), tybetański mnich, jogin ze szkoły Kagyu. Był też poetą i pisarzem. *Opowieść o życiu Milarepy albo Drogowskazy Wyzwolenia i Wszechwiedzy* (przeł. I. Kania, Kraków 2005) jest dramatycznym obrazem jego drogi życiowej – od złych skłonności aż do stanu

w piekle nie zrodziły u większości adeptów tych religii dążenia do tego, żeby rozświetlić prawa rządzące światem, w tym także prawo odwetu lub karmy. Wieczny odwet za chwilowe naruszenie prawa wydawał im się sprawiedliwym aktem ze strony Bóstwa albo w każdym razie (jak w braminizmie) prawem niezaprzeczalnym i absolutnie nieprzekraczalnym. Budda spalał się płomieniem współczucia, ale on też uczył tylko tego, jak wyrwać się z kręgu żelaznych praw świata, a nie tego, jak prawa te rozświetlić i przeobrazić. Co się zaś tyczy twórczości, to zupełnie nie uświadamiano sobie, że jest ona u monady czymś wrodzonym; nie było nawet takiego pojęcia, a konkretnym dostępnym człowiekowi rodzajom twórczości nie przydawano znaczenia, wyłączając twórczość religijną w wąskim znaczeniu: akty duchowe, teologię, nauczanie wiary, budownictwo świątynne, kult.

Inne religie, niesklaniające się ku ascetyzmowi, jak islam i protestantyzm, przekształciły ten ideał, rozszerzyły go a zarazem zniżyły, czyniąc go bardziej dostępnym, bardziej ludowym, sprowadzili go wręcz do wymogu przestrzegania zaledwie kilku przykazań odnoszących się do Boga, państwa, najbliższego otoczenia, rodziny, i w końcu – do samego siebie. Wypada powtórzyć, że ani ta, ani tamta grupa religii nikomu nie wyznaczała zadania przeobrażenia społeczeństwa, a tym bardziej przyrody. Zgodnie z tym również pojmowanie powinności jednostki ludzkiej pozostawało nadwątlone i wąskie. Nic dziwnego, że tego rodzaju zadania, ale w skrajnie uproszczonej postaci, zostały w końcu postawione przez doktryny niezwiązane z religią. Głoszony był ideał etyczny zanizony i wewnętrznie sprzeczny, mechanicznie łączący niektóre cechy progresywne z takimi, które rozmijały się z minimum etycznym, od dawna zdawałoby się bezdyskusyjnym. Przypomniano starą formułę „cel uświęca środki” i, obawiając się uczciwego głoszenia jej otwarcie, zaczęto posługiwać się nią w praktyce. Przy charakterystykach i ocenach zjawisk historycznych całkowicie pomijano ich jakość moralną; werdykty ferowano, wyłącznie opierając się na ogólnej ocenie postępowej lub reakcyjnej tendencji określonego zjawiska. Nikogo nie peszyło to, że prowadzi to do usprawiedliwiania krwawej działalności wielu despotów przeszłości, a nawet do takich przerażających zbrodni masowych, jak terror jakobiński czy działalność opryszczyny¹¹. Odrzucono wiele dawnych osiągnięć postępu społecznego, jak wolność słowa, druku lub agitacji religijnej. Pokolenia wychowane w takiej atmosferze stopniowo zatracaly potrzebę tych swobód, co było wyraźniejszym niż jakiegokolwiek tyrady symptomem zatrważającego regresu duchowego społeczeństwa. W ten sposób, zbliżając się do ideału w takiej postaci, w jakiej realnie się pojawił, traciły na wartości również jego pozytywne cechy. W przyszłości rysowało się bowiem

świątobliwości (na podstawie tego „scenariusza” sprzed tysiąca lat powstał film). Ci trzej „mocarze duchowi” to według D.A. poprzednicy jego własnych wysiłków na rzecz idei ekologicznych i ekumenicznych; Andriejew był w Rosji ich żarliwym prekursorem (przyp. tłum.).

11 Iwan Groźny w 1565 r. podzielił państwo moskiewskie, oprócz „ziemszczyzny”, wyodrębnił mniejsze obszary „opryszczyny”, w których okrutne rządy sprawowała specjalna formacja zbrojna „opryszczników”; zob. M. Heller, *Historia imperium rosyjskiego*, przeł. E. Melech i T. Kaczmarek, Warszawa 2009, s. 162–171 (przyp. tłum.).

tylko królestwo dosytu materialnego, okupionego rezygnacją z wolności duchowej, wielomilionowymi hekatombami ludzkiego życia i spadaniem do niższych warstw Szadanakaru miliardów istot ludzkich, które za miskę soczewicy wyzbyły się swego boskiego pierworództwa.

Trzeba żywić nadzieję, że straszna lekcja nie zostanie zmarnowana.

Doktryna Róży Świata wskazuje absolutną **wartość** jednostki, jej boskie pierworództwo: prawo do wyzwolenia od ubóstwa, od przemocy agresywnych społeczności, prawo do dobrobytu, do wolności wszelkiej twórczości, do poszukiwań religijnych i piękna. Prawo człowieka do bezpiecznego życia i korzystania z dóbr cywilizacji jest przyrodzonym prawem, które jako takie nie wymaga rezygnacji ani z wolności, ani z duchowości. Twierdzenie, że zawarty jest w tym jakiś fatalny dylemat, bo jakoby dla osiągnięcia naturalnych i oczywistych dóbr trzeba zrzec się osobistej duchowej i społecznej wolności, jest okłamywaniem ludzi.

Doktryna ta wskaże również na **czynne powinności** jednostki ludzkiej: na konsekwentne rozszerzanie sfery tego, co objęte jest jej miłością; na rozrost, zwielokrotnienie i rozświetlenie tego, co powstaje w wyniku jej twórczości. Twórczość w takim ujęciu okazuje się zarówno prawem, jak i powinnością. Do dziś nie mogę pojąć, z jakiego powodu ta doprawdy boska zdolność człowieka nie doczekała się właściwego potraktowania w żadnej z dawnych religii, poza niektórymi formami wielobóstwa, zwłaszcza hellenistycznego. Zdaje się, że tylko w Helladzie umiano ubóstwiać nie tylko dzieła sztuki, ale też twórczą zdolność człowieka, właśnie twórczą, a nie wytwórczą, jak w innych formach politeizmu, i umiano nawet apoteozować wielkich przedstawicieli sztuki. Smutne to i dziwne, że po zgaśnięciu Hellady dar twórczy przestał przyciągać uwagę kultów religijnych, że nie nadawano mu już znaczenia ani ontologicznego, ani metafizycznego, ani mistycznego. Pod wpływem jednostronnie pojmowanej semickiej idei, że po sześciu dniach stworzenia nastąpiło uspokojenie boskiego Ducha twórczego, nawet sprawę dalszej twórczości samego Boga myśl teologiczna wołała omijać i wyrażenie Boskie, uwiecznione w *Objawieniu św. Jana* „Oto nowym czynię wszystko”¹², pozostało jedynym wzlotem, jednorazowym olśnieniem. Do ludzkiej twórczości natomiast zaczęto odnosić się bardzo podejrzliwie, jak gdyby pycha, w którą może popaść człowiek będący twórcą, miała być bardziej niebezpieczna i zgubna niż twórcza bezpłodność. Niestety, nie mniej karygodny pogląd na twórczość człowieka ukształtował się również w religiach pnia indyjskiego.

Ostatnie wieki kultur zachodnich, jakże obfite w przejawy genialności we wszystkich dziedzinach sztuki, w nauce i filozofii, wiele nas nauczyły. Nauczyły nas pietyzmu wobec ludzkiej twórczości i szacunku dla ludzkiej pracy. Jednakże areligijny duch tych wieków sprzyjał w tym zakresie akurat temu, czego obawiały się dawne religie: człowieka twórcę przepełniała pycha posiadania twórczego daru, tak

12 Zob. *Apokalipsa*, w: *Ewangelia według Marka; Apokalipsa*, przeł. C. Miłosz, Lublin 1989, 21,5.

jakby sam stworzył sobie ów dar. Zresztą, owa wsobność uwiła sobie gniazdo nie tyle w osobach prawdziwych geniuszy, a tym bardziej zwiastunów duchowych, co w orszaku drugorzędnych wyrobników nauki i sztuki. Bardziej szczegółowej analizie tych problemów, z punktu widzenia doktryny Róży Świata, będzie w niniejszej książce poświęcone wiele oddzielnych rozdziałów.

W każdym razie twórczość, tak jak i miłość, nie jest darem wyjątkowym, znany tylko wybrancom. Wybrańcy wiedzą, czym jest świątobliwość i świętość, bohaterstwo i mądrość, geniusz i talent. Ale to jest tylko odkrycie potencji zdeponowanych w każdym człowieku. Głębie miłości, niewysychające źródła twórczości biją za progiem świadomości każdego z nas. Religia „sumaryczna” dążyć będzie do zburzenia tej przegrody, aby umożliwić żywym strumieniom przebicie się tutaj, do nurtu życia. W pokoleniach ukształtowanych przez tę religię ujawni się twórczy stosunek do wszystkiego, a sama praca nie będzie brzemieniem, lecz wyrazem nieustannego pragnienia, by tworzyć to, co jest nowe i najlepsze, to, co jest własne. Wszyscy adepci Róży Świata będą rozkoszować się twórczą pracą, nauczając tej radości dzieci i młodzień. Będzie to tworzenie we wszystkim: w słowie i urbanistyce, w naukach ścisłych i ogrodnictwie, w upiększaniu życia i jego łagodzeniu, w nabożeństwach i sztuce misterii, w miłości mężczyzny i kobiety, w piastowaniu dzieci, w rozwoju sprawności fizycznej i w tańcu, w rozświetlaniu przyrody i w zabawie.

Ponieważ każda twórczość, oprócz demonicznej, uprawianej z miłości własnej i dla siebie, jest Bogowspółtworzeniem, poprzez które człowiek wznosi się ponad siebie, to własnemu sercu i sercom innych **przydaje boskości**.

Jeśli chodzi o osobiste samodoskonalenie duchowe, to większość ludzi kroczy drogą powolną i szeroką. Droga ta prowadzi przez małżeństwo i prokreację, przez uczestnictwo w różnorodnych formach działalności, przez bogactwo i wielobarwność wrażeń życiowych, radości i przyjemności życia. Ale jest także wąska droga, pisana tym, którzy noszą w swej duszy dar szczególny, wymagający twórczego samoograniczenia: dar świętości. Pozbawione słuszności są doktryny religijne, które postulują uznanie Wąskiej Drogi jako jedynie właściwej i najwyższej. Tak samo nie są zasadne systemy społeczne lub religijne, które w ogóle negują Wąską Drogę i stawiają przeszkody tym, którzy czują powołanie, by nią właśnie kroczyć. Należy wątpić w to, że w epoce Róży Świata istnieć będą liczne klasztory, niemniej jednak będą istnieć, by każdy, kogo pragnienie duchowe skłania ku Wąskiej Drodze, mógł pracować nad odkrywaniem w sobie takich zdolności duszy, które wymagają wieloletniej pracy w ciszy i odosobnieniu. Jeżeli na Wąską Drogę człowiek wkracza ze strachu przed potępieniem czy też pod wpływem marzenia o osobistym, egoistycznym, zamkniętym obcowaniu z Bóstwem, to jego osiągnięcia nie mają wartości. Nie ma żadnego Bóstwa, które wiernych sobie niewolników nagradza błogą kontemplacją jego chwały. Kontemplacja wyższych sfer to **wyjście osobowości poza siebie** i dostąpienie owej Jedności obejmującej wszystkie monady i stwarzającej cały świat. Dlatego dla adepta

Różę Świata bodźcem do wejścia na Wąską Drogę może być nie egoizm duchowy, nie pragnienie osobistego zbawienia, przy chłodnej obojętności wobec innych, lecz zrozumienie, że na Wąskiej Drodze ujawniają się takie dary, dzięki którym człowiek świętobliwy, przebywając w tym odosobnieniu, będzie o wiele sprawniej pomagać światu niż setki świeckich ludzi, i które w pośmiertnym bycie stają się tak wielką siłą, że koraż się przed nią nawet potężne hierarchie demoniczne.

Nie ma żadnego pożytku ze strasznych przysięg, które towarzyszą obłóczydom zakonnym. Nie ma podstaw do osądzania i potępiania kogoś, kto po upływie wielu lat porzucił wybraną drogę. Nowicjusz będzie najpierw składał tylko tymczasowe śluby: na trzy lata, na pięć, na siedem lat. Dopiero po udanym zakończeniu tych etapów otrzyma, jeśli zechce, prawo do złożenia ślubów na dłuższy termin, ale mimo to świadomość nieodwracalności wybranej drogi, podejrzenie popełnienia błędu nie do naprawienia nie będzie go dręczyć i przytłaczać, rodząc rozpacz i gwałtowne napady żalu za tym, czego się nie zaznało, bo będzie wiedział, że po upływie terminu może wrócić do świata, może wybrać dowolny sposób życia, dowolną pracę, może mieć rodzinę, dzieci, nie narażając się z tego powodu na niczyją naganę ani wyrazy lekceważenia.

Dołożyłem starań, aby przewidzieć stosunek Róży Świata do naukowej i nie-naukowej metody poznania, do jednostki ludzkiej, jej praw i powinności, do twórczości i pracy człowieka, wreszcie do dwu podstawowych rodzajów drogi duchowej: Szerokiej i Wąskiej. Żeby uzupełnić wyobrażenie o jej stosunku do kultury, należałoby zatrzymać się nad jej poglądami o sztuce w szerokim tego słowa znaczeniu. Ale zagadnienie to jest tak znaczące i ważne, a mnie osobiście tak bliskie, że zdecydowałem się poświęcić mu kilka rozdziałów w jednej z dalszych części książki. Toteż, zanim przejdę do zagadnienia stosunku Róży Świata do innych religii, o sztukach pięknych nadchodzącej epoki poczynię tylko kilka pobieżnych uwag.

Jakimi cechami może odznaczać się sztuka, którą w najbliższych epokach, kiedy słońce złotego wieku ledwie zacznie opromieniać chmury nad horyzontem, stworzą ludzie duchowo bliscy Róży Świata?

Naiwnością byłaby próba przewidzenia czy naszkicowania różnorodności artystycznych tendencji, gatunków, szkół, manier stylistycznych, którymi zabłyśnie ta sfera kultury z końcem obecnego stulecia. Ale jak mi się zdaje, zacznie się wyodrębniać pewien dominujący styl, oczywiście nieobejmujący wszystkich prądów sztuki (wyłącznie w warunkach maksymalnej wolności nie jest możliwa, jak też z tego samego powodu nie jest potrzebna), jednakże w ostatnich trzech dziesięcioleciach naszego wieku powołany, jak się teraz mówi, do niejako najważniejszej roli w sztuce i literaturze. W stylu tym znajdzie wyraz percepcja zjawisk właściwa Róży Świata, percepcja **przenikliwa**, rozpoznająca poprzez warstwę rzeczywistości fizycznej odmienne, innomaterialne lub duchowe warstwy. Taka percepcja świata będzie odbiegać od świadomości taktycznego optymizmu, który obawia się naruszenia

własnego błogostanu dociekaniem dotyczącymi mrocznych i tragicznych stron bytu. Twórcy tej sztuki nie będą unikać zgłębiania bolesnej i strasznej ciemnej strony świata. Za małoduszność poczytaliby pragnienie zapomnienia o krwawych szlakach historii, o realności srogich infrazwyczajnych warstw Szadanakaru, o ich bezlitosnych prawach, które w okowach niehumanicznych męczarni trzymują niezliczone rzesze nieszczęśników, i o tych najstraszliwszych przypadkach staczania się ludzkiego ducha, które są przygotowywane przez siły Antyboga i urzeczywistnia się w historii prawie nieuchronnie, gdy wyczerpane zostaną możliwości postępowego ruchu złotego wieku. Jednakże wysoki poziom świadomości tych twórców nie będzie przeszkodą dla ich umiłowania świata, ziemi, nie umniejszy ich radosnych uczuć, które wzbudzają przyroda, kultura, twórczość, praca społeczna, miłość, przyjaźń, wręcz przeciwnie! Czyż świadomość ukrytych niebezpieczeństw, które zagrażają temu, kogo kocham, osłabia żar miłości? Pojawiają się cudowne dzieła o nieznanym dotąd pełni afirmacji życia, czystości i radości. W nurtach wszystkich sztuk – i tych już istniejących, i tych, które powstaną – pojawiają się rozbłyskujące, jak bryzgi wody w promieniach słońca – dzieła przyszłych twórców o miłości wszechstronnejszej niż nasza; o młodości, o rozkoszach domowego ogniska i działalności społecznej, o wzroście ludzkiej świadomości, o zwiększeniu granic percepcji, o zaprzyjaźnionych z ludźmi stychalach, o powszedniej bliskości niewidzianych jeszcze przyjaciół naszego serca, no i o iluś tam jeszcze innych sprawach, które będą do głębi poruszać ludzi tych epok, czego my nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Wydaje mi się, że taką sztukę, męską dzięki swej odwadze i kobiecą dzięki bogactwu miłości, a więc mądrze łączącą radość i czułość wobec ludzi i świata z uważnym poznawaniem jego mrocznych głębi można by nazwać przenikliwym realizmem¹³ albo metarealizmem. I czyż należy mówić, że dzieło sztuki nie musi być koniecznie wzorem przenikliwego realizmu, aby ludzie związani z Różą Świata mogli cieszyć się nim i zachwycać? Oni bowiem cieszyć się będą wszystkim, co nosi znamiona talentu i przynajmniej jedną z takich właściwości, jak poczucie piękna, rozległość tematu, głębokość zamierzenia, bystrość spojrzenia, czystość serca, pogoda ducha.

Nadejdą czasy, kiedy etyczny i estetyczny poziom społeczeństwa i samych ludzi sztuki będzie taki, że zniknie wszelka potrzeba jakichkolwiek ograniczeń i zapanuje całkowita wolność sztuk pięknych, literatury, filozofii i nauki. Jednakże między momentem, kiedy Róża Świata przejmie kontrolę nad państwem, i epoką tego idealnego poziomu minie kilka dziesięcioleci. Nie w umysłach mądrych ludzi, a jedynie w młodzieńczych niedojrzałych głowach mogłaby powstać myśl, że społeczeństwo osiągnęło już takie wyżyny rozwoju, że absolutna wolność nie może

13 Szerzej zostało to omówione w rozdziale *Skwoziaszczij realizm* (Przenikliwy realizm) pracy *Niektóre uwagi z zakresu wersologii*, w: D. Andriejew *Sobranije soczinienij*, t. 4, Moskwa 2006, s. 89–106.

spowodować fatalnych, niepowetowanych nadużyć. Na początku lokalnym filiom Światowej Rady Artystycznej trzeba będzie zlecić – oprócz innych, przyjemniejszych funkcji – również i tę jedyną kontrolę, której poddawane będzie dzieło sztuki przed publikacją. Będzie to, jeżeli czytelnika nie obrazi taki żart, labędzia pieśń cenzury. Początkowo, gdy antagonizmy narodowościowe i przesady rasowe nie zostaną jeszcze wyplenione, agresywne organizacje będą korzystać z tych przesądów, trzeba więc będzie stosować zakaz jakiegokolwiek propagandy nienawiści między tymi czy innymi grupami ludności. Później zachowywana będzie jeszcze kontrola nad książkami i pomocami naukowymi popularyzującymi idee naukowe i filozoficzne, jednakże, mając na uwadze jedynie to, aby publikacje te nie okazywały się małowartościowe, lekkomyślne lub zniekształcające obiektywne fakty, aby nie wprowadzały w błąd niewykwalifikowanego czytelnika. Nad utworami artystycznymi zachowana zostanie jeszcze, jak mi się zdaje, kontrola wymagająca od nich pewnej minimalnej sumy walorów artystycznych, chroniąca rynek księgarski przed zalewem tandety, estetycznie bezwartościowej makulatury. I wreszcie najdłużej utrzyma się zapewne bezwarunkowy zakaz pornografii. Natomiast po zniesieniu każdego z tych ograniczeń zastępować je będzie inny środek: po wyjściu w świat bezwartościowego dzieła Światowa Rada Artystyczna czy Światowa Rada Naukowa opublikuje swoją kompetentną opinię o nim. To powinno wystarczyć. Oczywiście niezbyt łatwo będzie opracować taki system obsadzania stanowisk w tych radach, który by zabezpieczał wszystkie sfery kultury przed ingerencją w ich kierowniczą działalność ludzi o ograniczonych partyjnych lub szkolarskich poglądach, nietolerancyjnych zwolenników jakiegos jednego prądu artystycznego lub koncepcji filozoficznej czy wreszcie obrońców interesów twórczych jakiejś ograniczonej grupy, narodu lub pokolenia. Jednakże nie sędzę, żeby w psychologicznej atmosferze Róży Świata właśnie taki system nie mógł zostać opracowany.

Jeśli nie wdawać się teraz w rozgraniczanie pojęć kultury i cywilizacji, to można powiedzieć, że kultura to nic innego jak wspólny obszar twórczości całej ludzkości. Jeśli zaś twórczość jest najwyższą, najcenniejszą i najświętszą zdolnością człowieka, przejawem boskiej prerogatywy jego ducha, to na ziemi nie ma i nie może być niczego cenniejszego i świętszego niż kultura, i tym cenniejsza jest ta zdolność, im bardziej uduchowiony jest dany krąg kultury, dana dziedzina kultury, dane dzieło. Kultura ogólnoludzka dopiero powstaje, dotychczas w postaci całkowicie ukształtowanych fenomenów kultury widzieliśmy tylko kultury poszczególnych nadnarodów, to znaczy takich grup narodów, które jednoczy właśnie wspólnie tworzona, oryginalna kultura. Jednakże każda z takich kultur nie ogranicza się wcale do tej swojej sfery, która powstaje, rozwijając się w naszej przestrzeni trójwymiarowej. Ci, którzy tę kulturę tworzyli tutaj, kontynuują swoją twórczość także w życiu pośmiertnym, oczywiście, twórczość zmienioną zgodnie z odmiennymi warunkami tamtego świata lub tamtych światów, przez które wędruje teraz dusza człowieka będącego twórcą. Pojawia się

wizja wielomilionowych stowarzyszeń takich dusz, wizja niebiańskich krain i miast stojących ponad każdym z nadnarodów świata i wyobrażenie **Arymoi** – powstającej obecnie niebiańskiej krainy ogólnoludzkiej kultury.

Taka zasada traktowania kultury jest nowa i niezwykła. Mielibyśmy nawet prawo odnotować, że przy dalszym wgłębianiu się i szczegółowym rozpatrywaniu zasada ta przekształca się w rozległy, pojemny mitologem, gdybyśmy nie przywykli słowem „mit” określać coś, za czym nie stoi żadna realność. Natomiast tutaj jest akurat odwrotnie: mowa jest o realności mającej kolosalną skalę, odbijającej się w postaci strywalizowanej i zagmatwanej, ale mimo wszystko odzwierciedlającej się w tego rodzaju mitologemie.

Atmosfera Róży Świata i jej doktryny stworzy przesłanki do tego, ażeby ów mitologem kultury stał się udziałem każdego umysłu. I choć w całej jego ezoterycznej złożoności ogarnąć go może jedynie ograniczona liczba umysłów, to duch tej koncepcji, a nie jej litera, stanie się prawie wszystkim dostępny. I jeżeli wniknie się w te psychologiczne perspektywy, które rokuje przyswojenie tej koncepcji przez masy, to przestaje wydawać się nieziszczalną również nadzieja na stworzenie systemu środków, który ochraniałby wszystkie dziedziny kultury przed ingerencją ludzi nieposiadających żadnych wewnętrznych praw do kierowania tymi dziedzinami.



ROZDZIAŁ 3

STOSUNEK DO RELIGII

Jak często używamy słowa „prawda” i jak rzadko próbujemy określić to pojęcie.

Niech nas jednak nie peszy to, że w istocie powtarzamy pytanie Piliata¹⁴ i spróbujmy w miarę swoich możliwości rozpatrzyć to pojęcie.

Prawdziwą nazywamy taką teorię lub doktrynę, która z naszego punktu widzenia wyraża nieskażone wyobrażenie o jakimkolwiek przedmiocie poznania. W ścisłym tego słowa znaczeniu prawda jest nieskażonym odbiciem w naszym umyśle jakiegokolwiek przedmiotu. I ile istnieje w świecie przedmiotów poznania, tyle może istnieć prawd.

Przedmioty poznania są jednak poznawane **przez nas**, a nie **same w sobie**. A zatem prawda o dowolnym przedmiocie poznania, poznany przez nas, powinna zostać uznana za **prawdę względną**. **Prawda absolutna** zaś to odbicie takiego przedmiotu poznania, który został przez jakikolwiek podmiot poznany „sam w sobie”. Poznanie takie jest z zasady możliwe tylko wtedy, gdy przeciwstawność przedmiotu i podmiotu została zniesiona – gdy podmiot procesu poznania utożsamia się z przedmiotem.

Uniwersalna **prawda absolutna** to nieskażone odbicie w czyjejś świadomości wielkiego Wszechświata „samego w sobie”. **Częstkowe prawdy absolutne** to nieskażone odbicia jakiegokolwiek części Wszechświata – części poznanej „sama w sobie”.

To naturalne, że prawda absolutna wielkiego Wszechświata może pojawić się tylko w świadomości współmiernego do niej podmiotu poznającego – podmiotu wszechobecnego, zdolnego do utożsamienia się z przedmiotem, zdolnego poznawać rzeczy nie tylko „od zewnątrz”, ale i „same w sobie”. Taki podmiot nazywany jest Absolutem, Bogiem, Słońcem Świata.

Bóg „Sam w Sobie” jako przedmiot poznania może być poznany tylko przez Samego Siebie. Jego prawda absolutna, jak i prawda absolutna Wszechświata dostępna jest tylko Jemu.

Oczywiste jest, że dowolna **prawda częstkowa**, niezależnie od tego jak mały byłby przedmiot poznania, dostępna jest dla nas tylko w jej **względny** wariantcie.

¹⁴ Dotyczy pytania Piliata zadanego Chrystusowi: „Co to jest prawda?”. Zob. *Ewangelia św. Jana*, w: Biblia poznańska, Poznań 2004, 18,38.

Agnostycyzm taki jednakże nie powinien być pojmowany jako bezwarunkowy: przy ostatecznej zbieżności dowolnego podmiotu poznającego, dowolnej monady z podmiotem absolutnym możliwe staje się dla niej poznanie nie tylko „od zewnątrz”, ale także „w sobie”. W ten sposób uprawniony jest nie bezwarunkowy agnostycyzm, lecz wyłącznie **stadialny**.

Prawdy cząstkowe mogą mieć kilka lub wiele wariantów – osobistych, indywidualnych odmian jednej cząstkowej względnej prawdy. Przy tym przedmioty poznania małych rozmiarów (w zestawieniu z podmiotem) w świadomości kilku podmiotów pokrewnych odbijają się prawie lub całkowicie identycznie: właśnie pokrewieństwo wielu podmiotów warunkuje to, że pokrewne są również ich osobiste warianty tej czy innej prawdy. Gdyby tak nie było, ludzie byłoby całkowicie pozbawieni możliwości wzajemnego porozumienia się odnośnie czegokolwiek. Ale im większy jest przedmiot w porównaniu z podmiotem, tym więcej jest tworzonych przezeń wariantów. Prawda względna Wszechświata i prawda względna Boga rodzą tyle osobistych wariantów, ile jest doznających podmiotów.

Zrozumiałe jest zatem, że wszystkie nasze „prawdy” stanowią, ściśle mówiąc, jedynie zbliżenia do prawdy. I im drobniejszy jest przedmiot poznania, tym lepiej możemy go poznać, tym węższy jest rozziw pomiędzy jego prawdą absolutną a naszą prawdą względną o nim. Zresztą, w relacji rozmiarów podmiotu i przedmiotu zawiera się granica, poniżej której rozziw pomiędzy prawdą absolutną i względną znów zaczyna się zwiększać: na przykład rozziw pomiędzy prawdą absolutną jakiegokolwiek cząstki elementarnej i naszą prawdą względną o niej jest ogromny. Natomiast rozziw pomiędzy prawdą absolutną Wszechświata, prawdą absolutną Boga a naszymi prawdami o nich jest wprost nie do ogarnięcia.

Wypowiadam tu myśli, które po Kancie, jak by się wydawało, powinny być znane i powszechnie przyjęte. Wszakże gdyby zostały przyswojone przez każdego religijnie myślącego i religijnie odczuwającego człowieka, nie byłoby miejsca na niczyje pretensje do osobistego lub zespołowego poznania prawdy absolutnej ani na niczyje pretensje do absolutnej prawidłowości jakiejkolwiek teorii czy doktryny.

Jak dowiedziono wyżej, prawda absolutna jest atrybutem tylko Podmiotu Wszechwiedzącego. Gdyby prawdę taką posiadał jakikolwiek podmiot ludzki, na przykład zespołowa świadomość konkretnego historycznego kościoła, uzewnętrzniałoby się to w bezwarunkowej wszechwiedzy tej zespołowej świadomości. Ale to, że takiej wszechwiedzy nie ma żaden ludzki zespół ani żadna osoba, kolejny raz pokazuje bezzasadność pretensji jakiejkolwiek doktryny do absolutnej prawdziwości. Gdyby przedstawiciele Róży Świata pomyśleli kiedykolwiek o pretendowaniu swojej doktryny do absolutnej prawdziwości, też byłoby to bezpodstawne i niedorzeczne.

W tym samym stopniu nieugruntowane i niedorzeczne jest twierdzenie, jakoby wszystkie doktryny lub jakaś jedna doktryna była **falszywa**. Całkowicie fałszywych doktryn nie ma i być nie może. Gdyby pojawił się pogląd pozbawiony nawet odrobiny

prawdziwości, nie mógłby stać się doktryną, to znaczy sumą przekazywanych komuś wyobrażeń. Pogląd taki pozostałby własnością tego, kto go sformułował, co zresztą zdarza się na przykład z filozoficznymi czy pseudonaukowymi wywodami niektórych umysłowo chorych. Fałszywe, w ścisłym tego słowa znaczeniu, mogą być tylko pojedyncze **częstkowe** twierdzenia, którym iluzji prawdziwości może przydawać światło zapożyczone od sąsiadujących z nimi w ogólnym systemie częściowo prawdziwych tez. Jednakże istnieje znana relacja między ilością i ważkością tez częściowo fałszywych i prawdziwych, przy której suma fałszywych tez zaczyna pozbawiać wartości ułamki prawdy zawarte w danej doktrynie. Są doktryny, w których twierdzenia fałszywe nie tylko pozbawiają wartości element prawdziwości, ale cały system przenoszą do kategorii negatywnych potencjałów duchowych. Doktryny tego rodzaju przyjęto nazywać doktrynami „lewej ręki”¹⁵. Przyszła doktryna Antyboga, która, jak się zdaje, będzie znamionować przedostatni etap historii powszechnej, zostanie skonstruowana w taki sposób, że przy minimalnym znaczeniu zawartego w niej elementu częściowo prawdziwego, światło od niego odbite będzie nadawać pozór prawdziwości maksymalnej liczbie twierdzeń fałszywych. To właśnie uwarunkuje taką sytuację, że doktryna ta uwikła ludzką świadomość w sieci kłamstwa mocniej i bardziej bezpowrotnie niż cokolwiek innego.

Religie, które nie należą do kategorii doktryn „lewej ręki”, różnią się między sobą nie na mocy prawdziwości jednej z nich i fałszywości pozostałych, lecz według dwu koordynat całkiem odmiennych. A mianowicie:

po pierwsze, z powodu różnych stopni swego wznoszenia się ku prawdzie absolutnej, to znaczy w miarę ubywania w nich elementu subiektywnego, właściwego danej epoce. Tę **stadialną** różnicę można umownie nazwać różnicą **wertykalną**;

po drugie, różnią się, ponieważ mówią o różnych kwestiach; odbijają różne grupy przedmiotów poznania. Ten rodzaj różnic segmentowych można umownie nazwać różnicami **horyzontalnymi**.

Obu rodzajów różnic nie należy ani na chwilę tracić z oczu przy rozpatrywaniu zagadnienia stosunku Róży Świata do innych religii.

W rozwoju nauki obserwujemy nieprzerwany proces gromadzenia względnych prawd częściowych i ich doskonalenia, uściślenia. W kolejnym stadium odrzucane są zwykle nie zbiory nagromadzonych wcześniej faktów, a tylko ich przestarzałe objaśnianie. Przypadki, kiedy dawny zbiór faktów budził wątpliwości i podlegał odrzuceniu, jak to się zdarzyło na przykład z alchemią, są stosunkowo rzadkie. Ale w historii religii, niestety, panują inne zwyczaje. Zamiast dziedzicznie zmieniającego się pojmowania niekwestionowanych faktów duchowych, widzimy najczęściej, jak w kolejnym stadium rozwoju religijnego odrzucane są całe zbiory wcześniej

15 W hinduistycznej teologii doktryny „lewej ręki” (nieprawego pochodzenia), według dawnych wyobrażeń ręki „nieszanowanej”, prowadzą do niemoralnych postępów; to, co jest po lewicy występuje w opozycji do tego, co jest po prawicy.

poznanych względnych prawd częściowych, natomiast zbiór własnych nowych prawd, z włączeniem pewnej ilości starych prawd, jest przedstawiany jako absolutnie prawdziwy. Obserwacja ta jest szczególnie trafna w odniesieniu do zastępowania tak zwanych religii pogańskich przez systemy monoteistyczne.

Oczywiste jest, że zachowanie przez nas podobnych zwyczajów w warunkach rozszerzającego się horyzontu XX stulecia doprowadziłoby co najwyżej do powstania kolejnej sekty. Wprowadzenie do religii metody naukowej byłoby oczywiście poważnym błędem, tak samo bezprawnym jak przeniesienie metod sztuki do dziedziny nauki. Ale dawno już pora, żeby przejąć dobry zwyczaj uczonych i nie odrzucać, lecz od nowa analizować zbiory wcześniej nagromadzonych prawd względnych.

Wynika z tego, że żadne doktryny, poza doktrynami „lewej ręki”, dającymi się rozpoznać przede wszystkim wskutek ich duchowego niszczycielskiego oddziaływania, nie mogą być odrzucane całkowicie. Powinno się je uznawać za niezadowalające, obciążone ludzkimi subiektywnymi naleciałościami: stadialnymi, klasowymi, indywidualnymi. Jednakże ziarno względnej prawdziwości, ziarno poznania „z zewnątrz” tej czy innej dziedziny świata transfizycznego zawarte jest w każdej religii i każda taka prawda jest bezcenna dla całej ludzkości. Naturalne jest przy tym, że zakres prawdziwości systemów, które powstały w wyniku doświadczeń licznych indywidualności, jest z zasady większy od zakresu prawdziwości systemów rozpowszechnionych tylko w niedużych grupach. Wyjątek mogą stanowić systemy młode, zmierzające, być może, do szerokiego rozpowszechnienia, ale z powodu naturalnego biegu rzeczy od razu pomijające stadium utajonego czy też wąskiego istnienia grupowego.

Podobne szeroko rozpowszechnione systemy nazywane są w niniejszej koncepcji mitami, co będzie szczegółowo wyjaśnione poniżej. Mity zawsze kryją w sobie taką czy inną realność transfizyczną¹⁶, ale nie może ona pozostać nieskażona i niezagmatwana, ponieważ do mitu wprowadzono wiele z tego, co jest „ludzkie, zbyt ludzkie”¹⁷. Wątpić należy, czy metoda wyzwalania transfizycznego ziarna mitów z ich ludzkiej skorupy może być, w każdym razie obecnie, sformułowana dokładnie i ściśle. Jak dotąd, nie udało się jeszcze opracować niezbędnego mechanizmu kryteriów, który byłby wystarczający w odniesieniu do każdego przypadku. Wątpliwości budzi też to, czy tak skomplikowane zadanie mistyczne jest do rozwiązania za pomocą naszego *ratio*. Można, co prawda, kierując się teleologią historii, skonstruować określoną klasyfikację religii, która by pozwoliła wyodrębnić religie wysokorozwinięte jako osobną grupę i przekonać się, że mimo różnego stopnia czystości i potęgi istnieją tezy potwierdzone przez całą tę grupę religii. Należą do nich: teza

16 Por. określenie mitu sformułowane w pracy A. Łosiewa *Iz rannich proizwiedienij* (Z wczesnych pism): „Mit to najkonieczniejsza, mówiąc po prostu, transcendentalnie konieczna kategoria myśli i życia, i nie ma w nim dokładnie niczego przypadkowego, niepotrzebnego, dowolnego, zmyślonego albo fantastycznego. To autentyczna i maksymalnie konkretna realność” (Moskwa 1990, s. 397).

17 Nawiązanie do tytułu książki F. Nietzschego *Ludzkje, arcyłudzkie* (1878).

o jedyności Boga, o wielości różnorodnych hierarchii duchowych, o nieskończonej wielości monad w różnych fazach powstawania, a także o istnieniu pewnego ogólnego prawa moralnego, które mówi o przysługującej po tej i po tamtej stronie odpłacie za to, czego człowiek dokona w swoim życiu. We wszystkim zaś pozostałym, a nawet w interpretacji wyszczególnionych wyżej tez ogólnych mity bądź przeczą sobie nawzajem, bądź mówią o czymś innym.

Jednakże, jeśli w wielu przypadkach indywidualność podmiotu wnosi do wyobrażeń o poznawanym przedmiocie nieco elementu obcego, nadmiernie ludzkiego, to z drugiej strony równie liczne są przypadki, kiedy jakakolwiek prawda duchowa może być odebrana tylko przez specyficznie ukształtowaną świadomość. Indywidualność okazuje się czynnikiem, który nie zakłóca poznania, lecz wprost przeciwnie, czyni je realnie możliwym. Proces teleologiczny w religijnej historii ludzkości zasadzał się poniekąd właśnie na tym, żeby poprzez oddziaływanie czynników historycznych i biograficznych oszlifować świadomość konkretnej jednostki, narodu, rasy, epoki w taki sposób, by mogła odbierać pewne prawdy, pewną realność transfizyczną. Natomiast innym indywidualnościom, narodom, rasom, epokom taka w określony sposób oszlifowana świadomość i jej doświadczenie religijne mogły wydawać się dziwne, skażone czy też niedojrzałe, brzemienne we wszelkiego rodzaju aberracje.

Spośród setek możliwych przykładów przytoczę na razie jeden, ale niezwykle wyrazisty: ideę reinkarnacji¹⁸. Głęboko zakorzeniona w hinduizmie i buddyzmie, obecna w ezoterycznym judaizmie (kabała), idea ta odrzucana jest przez ortodoksyjne chrześcijaństwo i islam. Czy jednak z powodu tego braku powszechności idei można wyciągnąć wniosek, że stanowi ona rasową lub stadialną aberrację kulturową świadomości hinduskiej? Rzecz w tym, że przy próbie godzenia tez różnych religii należy przede wszystkim nauczyć się oddzielać to, co w nich zasadnicze, od tego, co drugorzędne, to, co ogólne, od tego, co cząstkowe. „Ogólność”, główny trzon dowolnej tezy, mieści się w **ziarnie** idei, które przez całe wieki cechuje nadzwyczajna trwałość: rzucone na głęb różnych środowisk kulturowych, rodzi różne kielki – różne warianty danej tezy. Jeżeli w dziejach jest w ogóle jakiś teleologiczny kierunek, to powinien on oczywiście wyrazić się przede wszystkim w trwałym bytowaniu takich właśnie odpornych duchowych ziaren w szeroko rozpowszechnionych, istniejących w milionach ludzkich świadomości **podstawach idei**.

Ziarno idei reinkarnacji tkwi w doktrynie o pewnym *Ja*, którego proces kosmicznego powstawania lub dany jego odcinek dokonuje się na etapach kolejnych istnień w naszym fizycznym świecie. Wszystko pozostałe, a mianowicie: duchowe i jednocześnie materialne właściwości oraz struktura tego, kto przechodzi przez wcielenia, taka

¹⁸ Idea reinkarnacji (to jest. metempsychozy, z greckiego „wędrówki dusz”), w tym także wcielania się w zwierzęta, a nawet rośliny, znana wielu wczesnym religiom, rozwinęta się głównie w filozoficzno-religijnych tradycjach Indii, w braminizmie, buddyzmie i hinduizmie; była znana także w antycznej Grecji (orfizm, pitagoreizm); wędrówkę dusz dopuszcza również kabała – średniowieczna religijno-mistyczna doktryna judaistyczna.

czy inna zależność wcieleń od prawa karmy, rozszerzenie zasady reinkarnacji również na świat zwierząt lub negowanie takiego rozszerzenia – wszystko to są tylko warianty, odmiany idei podstawowej. Zrozumiałe jest więc, że w tych wariantach i detalach można łatwiej i częściej zetknąć się z prawdziwymi aberracjami niż w ziarnie idei, na przyjęcie której przez naród indyjski siły teleologiczne pracowały przez wiele wieków, dokonując ogromnego wysiłku, by zburzyć przegrodę między świadomością dzienną a pamięcią głęboką – zbiornikiem wspomnień o wędrówkach duszy przed jej ostatecznym wcieleniem. Fałszywość dogmatów religijnych tkwi najczęściej nie w ich treści, lecz w ich pretendowaniu do tego, żeby potwierdzone przez dogmat prawo miało ogólne, uniwersalne, kosmiczne znaczenie, a potwierdzony przez dogmat fakt był uznawany przez całą ludzkość, bez tego bowiem nie ma jakoby zbawienia. To, co tu przedstawiliśmy, prowadzi do uznania autentyczności tego doświadczenia duchowego, które przekształciło się w ideę reinkarnacji. Rzeczywiście, taki właśnie proces stawania się jest dokonywany; w treści tej idei **nie ma niczego**, co ze względów zasadniczych byłoby nie do przyjęcia dla chrześcijaństwa czy islamu, chyba jedynie poza tym, że nie dotarły do nas żadne wypowiedzi założycieli chrześcijaństwa i islamu o idei reinkarnacji (co zresztą samo przez się niczego nie dowodzi, ponieważ do Ewangelii i Koranu, jak wiadomo, trafiło bynajmniej nie wszystko, co oni mówili). Ale zdecydowanie nie ma też żadnych podstaw, by twierdzić, że reinkarnacja jest jedyną możliwą, jedyną realną drogą powstawania indywidualnego ducha. Świadomość narodu hinduskiego wyprofilowana w kierunku przyjęcia tego typu drogi, jak to często bywa w podobnych przypadkach, **zabsolutyzowała** swoje odkrycie i ogłuchła na przyjęcie innych typów drogi powstawania *Ja*. To samo zaszło w narodzie żydowskim i arabskim, ale ze znakiem przeciwnym. Przyjawszy inną drogę procesu powstawania *Ja*, na której wcielenie w fizycznej warstwie bytu odbywa się tylko raz, świadomość tych narodów tak samo bezzasadnie zabsolutyzowała ten drugi typ drogi. Sprzyjało temu także to, że w różnych metakulturach ludzkości może w ogóle przeważać taki czy inny typ drogi. W rezultacie między dwiema grupami religii światowych powstała niezgoda, sprzeczność wydająca się nie do rozwiązania. W rzeczywistości zaś obie te antagonistyczne idee, ustalając dwa typy możliwej drogi, są u swych podstaw prawdziwe i do usunięcia tej „sprzeczności” nie potrzeba niczego poza rezygnacją każdej strony z pretensji do uniwersalnej wyłączności swej idei.

Zatem jedna z historycznych przyczyn rzekomo nieusuwalnych sprzeczności między religiami sprowadza się do nieuzasadnionej absolutyzacji jakiejś tezy.

A oto druga przyczyna.

Jednym z głównych dogmatów chrześcijaństwa jest, jak wiadomo, koncepcja trójosobowości Boga. Założyciel islamu odrzucił ten dogmat, podejrzewając w nim reminiscencję wielobóstwa, przede wszystkim zaś dlatego, że we własnym doświadczeniu duchowym nie znalazł potwierdzenia tego. Nie warto chyba jednak w XX wieku powtarzać argumentacji teologów chrześcijańskich, którzy swego czasu dowodzili

i objaśniali, na czym polega zasadnicza różnica między dogmatem Trójcy a wielobóstwem: jest to na tyle elementarne, że, jak należy sądzić, obecnie wśród myślicieli muzułmańskich również nie znajdują się tacy, którzy rozpatrując zagadnienia chrześcijańskiej doktryny wiary, zaczęłyby obstawać przy tym błędnym twierdzeniu. Co się zaś tyczy drugiego argumentu – tego, że doświadczenie duchowe Mahometa nie zawierało potwierdzenia troistości Boga – to jest on logicznie nieuzasadniony. W ogóle niczyje doświadczenie nie może zawierać potwierdzenia wszystkich prawdziwych idei, które powstały wcześniej podczas zbiorowego ludzkiego poznania Boga i świata. Każde ludzkie doświadczenie jest ograniczone; tylko wszechmądrość Wszechwiedzącego ogarnia całą sumę prawd „samyh w sobie”. Dlatego okoliczność, że w doświadczeniu duchowym Mahometa nie było niczego, co potwierdza koncepcję troistości Boga, sama przez się w żaden sposób nie powinna służyć jako argument do obalenia tej koncepcji nawet w oczach ortodoksyjnych muzułmanów. Zamiast formuły: „Prorok, poznawszy doskonałą jedyność Bożą, przekonał się o fałszywości nauki o Trójcy”, należałoby na podstawie słusznych przesłanek stwierdzić, że „Prorok, poznawszy doskonałą jedyność Bożą, nie otrzymał jednak wskazówek co do troistości jedynego Boga”¹⁹. Jest całkowicie naturalne, że chrześcijańska doktryna wiary nie tylko nie ma żadnych zastrzeżeń wobec muzułmańskiego dogmatu jedyności Boga, lecz jest z nim w pełni tożsama. Ona tylko uzupełnia ten dogmat ideą, która samym swym trwaniem przez dwa tysiące lat i rozpowszechnieniem wśród miliardów ludzkich świadomości wskazuje na prawdziwość swojej **podstawy**. Do czegoż więc sprowadza się sprzeczność między tymi dwoma głównymi dogmatami dwóch religii? Czyż nie do samowolnego i nieuzasadnionego zaprzeczania przez jedną z nich tego, o czym w jej własnym pozytywnym doświadczeniu nie ma żadnych danych?

Teraz już widzimy drugą historyczną i psychologiczną przyczynę zakorzenionych rozbieżności między doktrynami wiary: nieuzasadnione negowanie cudzego przeświadczenia na tej tylko podstawie, że my sami nie posiadamy pozytywnych danych w tej kwestii.

Niestety, spory oparte wyłącznie na tej nieborności logicznej i psychologicznej, są niezliczone. Przywołajmy jeszcze jeden przypadek, znany każdemu. Islam (sunnizm) i protestantyzm negują zasadność kultu świętych²⁰, natomiast prawie wszystkie pozostałe religie akceptują go i praktykują w tej czy innej formie. Argumenty przeciw temu kultowi sprowadzają się do tego, że człowiek nie potrzebuje żadnych pośredników między sobą a Bogiem i że akty czci duchowej oraz modlitwy wznoszone nie do Boga, a do tych, co byli ludźmi, są grzeszne, prowadzą

19 Najwidoczniej przedmiotem uwagi jest tutaj następująca wypowiedź w Koranie: „I oto powiedział Bóg: «O Jezusie, synu Marii! Czy ty powiedziałeś ludziom: ‘Bierzcie mnie i moją matkę za dwa bóstwa, poza Bogiem?’» On powiedział: «Chwała Tobie! Nie do mnie należy mówić to, do czego nie mam prawa»» (sura 5, w. 116, przeł. J. Bielawski, Warszawa 1986); jednak muzułmańscy teologowie nie są skłonni uważać, że chodzi tu o Trójcę Świętą.

20 W odróżnieniu od protestantyzmu, większość kierunków islamu uznaje kult świętych, który muzułmańscy teologowie opierają na Koranie (sura 10, wers 63), gdzie mowa jest o „bliskich krewnych Allacha”.

bowiem do ubóstwienia człowieka. Ale co mianowicie znaczy ta sławna formuła: „Człowiek nie potrzebuje pośredników”? Jeżeli nie potrzebuje ich ten, kto myśl tę głosi, to jakie ma prawo mówić to w imieniu innych, a nawet całej ludzkości? Kto go do tego upoważnił? Czyżby te miliardy ludzi, którzy we wszystkich prawie krajach, we wszystkich prawie religiach odczuwały żywą, codzienną potrzebę takich pośredników, co uczyniło kult świętych psychologiczną możliwością? Jeżeli my, nie odczuwając potrzeby czegoś (istnieją ludzie nieodczuwający potrzeby na przykład muzyki), zaczniemy oburzać się na wszystkich odczuwających taką potrzebę jako na głupich fantastów, interesownych kłamców lub ciemnych nieuków, to co przez to udowodnimy, poza własną głupotą? Drugi dowód mówi o bezzasadności oddawania czci boskiej i wznoszenia modłów do tych, co byli ludźmi. Ależ czci boskiej (w sensie monoteistycznym) nikt im nie oddaje, nikt nie porównuje ich do Boga – to myśl zupełnie absurdalna, a dla ludzi wychowanych w chrześcijaństwie karygodnie prymitywna. Co prawda, w hinduizmie istnieje idea awatarów – ucieleśnień Wisznu w ludzkiej postaci, ale są to awatarowie, a wcale nie święci. Święci są czczeni właśnie jako ludzie, którzy zdołali przezwyciężyć to, co ludzkie, albo też jako wykonawcy woli Bożej, wysłańcy wyższego świata. Protestantyzm w ogóle odrzuca pojęcie świętości. Ale tu ujawnia się raczej spór o szczegóły niż o istotę sprawy, wszak odrzucając ascetyczny ideał zakonny, Luter i Kalwin nie pomniejszali znaczenia świątobliwości w świecie doczesnym, chociaż z jednej strony pojmowali ją szerszej niż katolicyzm, a z drugiej strony ograniczali jej znaczenie, negując jako taką Wąską Drogę. Mahomet, umierając, zabronił swoim naśladowcom zwracać się do jego ducha poprzez modlitwę. Dowodzi to czystości i szczerości jego intencji, ale sprzeczne jest z podstawami ogólnego religijno-moralnego oglądu świata. Przecież jeśli świątobliwość jako wzniosłe samopoświęcenie dla ludzkości w imię Boże jest nienaganną i bezinteresowną służbą Bogu (a jeśli świątobliwość pojmować w ten sposób, to śmieszne jest zaprzeczanie, że istnieje ona na świecie i zdarza się w życiu doczesnym, choćby rzadko), jeśli tak, to nie można wyobrazić sobie świątobliwej istoty ludzkiej, która po śmierci nieruchomieje w beczynnej szczęśliwości. Człowiek świątobliwy zawsze ze wszystkich sił, w tym także sił, które ujawniają się dopiero po śmierci, będzie służył pomocą ludziom żyjącym i stojącym niżej w procesie wznoszenia się. Jest to tak samo naturalne, jak pomoc dorosłego człowieka udzielana dziecku, i tak samo w niewielkim stopniu, umniejsza czy poniża tych, do których jest skierowana. Wątpliwe, żeby prorok Mahomet nie wiedział tego. Należy sądzić, że niejake skrajności, pewien nadmiar kultu świętych, które obserwował u chrześcijan, skłoniły go do zabronienia swoim naśladowcom jakichkolwiek tego typu praktyk. Być może uważał, że ten zakaz równoważy to, że świątobliwi niekoniecznie wymagają przypominania im przez modlących się, aby udzielali tym ostatnim niewidzialnej pomocy. Tak czy inaczej, nie podlega dyskusji, że każda doktryna uznająca nieśmiertelność duszy i wyższe prawo moralne tylko wbrew logice i własnym zasadom mogłaby utrzymywać,

iż w życiu pośmiertnym duch człowieka świątobliwego zachowuje się beczynn timer obojętnie wobec żyjących. Odrzucanie kultu świętych, a właściwie świątobliwych, jest logiczne tylko z jednego punktu widzenia: materialistycznego. Natomiast z drugiej strony w takim samym stopniu bezprawne jest absolutyzowanie kultu świętych jako powszechnie obowiązującego. Zdarzają się długotrwałe etapy w czasie wędrówki duszy, a nawet całego narodu, kiedy rzeczywiście niepotrzebni są żadni „pośrednicy”, kiedy dusza świadomie lub nieświadomie czuje, że wzmocnienie jej samodzielności, siły, wolności, woli duchowej wyklucza możliwość zwracania się do kogokolwiek poza samym Bogiem. Na jakiej podstawie i jakim prawem mielibyśmy takiej osobowości narzucać uczestnictwo w kulcie świętych?

Znacznie bardziej złożona jest podstawowa sprzeczność między chrześcijaństwem a innymi religiami: uznanie boskości Jezusa Chrystusa za dogmat, czczenie Go jako ucieleśnienia jednej z hipostaz Trójcy Świętej. Wszyscy wiedzą, że inne religie uznają Jezusa za jednego z wielu proroków albo też w ogóle ignorują Go, niekiedy nawet energicznie negując Jego opatrnościową misję. Chrześcijaństwo zaś ze swej strony, opierając się na słowach swego Założyciela o tym, że nikt nie przychodzi do Boga Ojca inaczej niż przez Syna Bożego, zaprzecza możliwości zbawienia wszystkich niechrześcijan.

Wyobrażam sobie jednak, że unikniemy wielu nieporozumień i trywializowania swych idei, jeżeli wszystkie wypowiedzi Chrystusa, które dotarły do nas, będziemy zgłębiać, zadając sobie pytanie: czy w danym przypadku Jezus przemawiał jako osoba, jako konkretna postać historyczna żyjąca w takim to a takim kraju, od takiego to a takiego roku, czy też przez Jego umysł i usta transformuje się w ludzkie słowa głos Boga, który On słyszy w Sobie. Każda wypowiedź Chrystusa wymaga analizy właśnie z punktu widzenia tego, czy w danym przypadku wypowiadał się On jako głosiciel prawd świata duchowego, czy też jako człowiek. Wszak nie sposób wyobrazić sobie, że Jezus w każdym momencie swego życia tylko głosił (nauki), a nigdy nie mówił po prostu jako człowiek. Czyż można wątpić w to, że Jego skarga na krzyżu: „Ojczy, Ojczy, czemuś mnie opuścił?”²¹ jest wyrazem męki w chwili, kiedy On – Jezus, człowiek – przeżywał tragedię opuszczenia Go, zerwania związku Swego ludzkiego Ja z Duchem Bożym, natomiast w Jego nauce, wygłoszonej podczas Ostatniej Wieczerzy przez cały czas używany jest zaimek w pierwszej osobie oznaczający Syna Bożego, Światowy Logos. Takiemu podziałowi na dwie grupy wypowiedzi należy poddać wszystkie słowa Chrystusa zachowane w Ewangeliach. Zupełnie oczywiste jest w tym przypadku, że również Jego słowa o tym, że nikt nie przychodzi do Boga Ojca inaczej niż przez Syna Bożego należy rozumieć nie w znaczeniu zaniżonym, zawężonym, sprowadzonym do fizyczności i bezlitosnym – że jakoby poza chrześcijańską nie zostanie zbawiona żadna dusza ludzka – lecz w znaczeniu wyższym, wzniosłym,

21 *Ewangelia według Marka*, w: *Apokalipsa; Ewangelia według Marka*, op. cit. 15,34.

prawdziwie duchowym, kosmicznym – że każda monada, spełniająca się do końca, zanurza się w głębię Syna Bożego, serca i demiurga Wszechświata i tylko poprzez ten akt wszechspełnienia powraca do swego źródła, do Boga Ojca, w niepojęty sposób utożsamiając się z Nim i całą Trójcą Świętą.

Keshab Chandra Sen, jeden z najwybitniejszych działaczy religijno-filozoficznej gminy hinduistycznej Brahmo Samadź²², wypowiedział myśl nader głęboką, stwierdził mianowicie, że mądrość hinduistów, pokora buddystów, męstwo muzułmanów – wszystko to pochodzi od Chrystusa. Najwidoczniej Chrystusa traktował w tym przypadku nie jako postać historyczną, lecz przede wszystkim, choć nie wyłącznie, jako Logos wyrażający Siebie w Jezusie Chrystusie. W idei tej można, według mnie, odnaleźć drogę do takiego punktu widzenia, przy którym możliwe jest osiągnięcie porozumienia myśli chrześcijańskiej z wieloma prądami religijności wschodniej.

Myślę także, iż niektóre opinie utrwalone w teologii chrześcijańskiej, powtarzane przez nas prawie mechanicznie, a dla innych wyznań będące nie do przyjęcia, wymagają sprawdzenia i uściślenia. Jak rozumieć na przykład słowa „ucłowieczenie” w odniesieniu do Jezusa Chrystusa? Czyżbyśmy również obecnie wyobrażali sobie, że Logos Wszechświata przyoblekł się w ludzkie ciało? Czyżbyśmy mieli założyć, że w drodze teleologicznego przygotowania z pokolenia na pokolenie powstawał, że tak powiem, instrument cielesny, indywidualny organizm fizyczny, ludzki mózg zdolny pomieścić rozum Wszechświata? Jeśli tak, to przecież należałoby sądzić, że Jezus już za życia posiadał wszechwiedzę, co nie jest zgodne nawet z faktami historycznymi podanymi w Ewangelii i Jego własnymi słowami. Czyż nie jest dla nas irytująca owa dysproporcja wymiarów: zbliżenie kategorii kosmicznych w ich maksymalnym znaczeniu z kategoriami ziemskimi, lokalnymi, zawężonymi, ludzkimi? A irytująca nie dlatego, że **przekracza** granice naszego rozumienia, lecz na odwrót – dlatego, że w tej dysproporcji zbyt widoczny jest efekt myślenia właściwy określönemu, dawno minionemu stadium kulturowemu, kiedy Wszechświat jawił się ludziom miliardy razy zminiaturyzowany w porównaniu z faktycznym stanem rzeczy, kiedy realny wydawał się upadek na ziemię twardego nieboskłonu i potworne gradobicie gwiazd, które zerwały się z zawiasów, na których są zawieszane. Czy zatem nie byłoby słuszniej mówić nie o ludzkim wcieleniu Logosu w osobie Jezusa Chrystusa, lecz o Jego w **Nim wyrażeniu się** za pośrednictwem wielkiej zrodzonej przez Boga monady, która stała się Planetarnym Logosem Ziemi? Nazywamy Chrystusa **Słowem**. Ale przecież mówiący nie ucieleśnia się, a właśnie **wyraża** siebie w słowie; Bóg się nie ucieleśnia, lecz wyraża siebie w Chrystusie. Właśnie w tym sensie Chrystus zaprawdę jest Słowem Bożym. A jeśli tak, to odpada jeszcze jedna z przeszkód do pogodzenia chrześcijaństwa z innymi prądami religijnymi.

22 Brahmo Samadź – hinduistyczna reformatorska gmina religijna, założona w 1828 r. przez Rammoohana Raya, propagująca religię uniwersalną, która miała syntetyzować hinduizm, islam i chrześcijaństwo; na jej czele stał Keshab Chandra Sen.

Zarysowałem pokrótce tylko cztery rozbieżności doktrynalne między religiami. Wyłączając jedną, ostatnią, wynikającą ze spornych założeń i, być może, niedostatecznej precyzji sformułowań, niedostatecznej krystalizacji idei, pozostałe polegają na rozminięciu się duchowych doświadczeń wielkich wizjonerów: na tym, że rozpatrując pewne obiekty z perspektywy różnych punktów Szadanakaru, pod różnymi kątami widzenia, kontemplujący określony obiekt oglądają go w różnych aspektach. Różnice takie można umownie nazwać sprzecznościami **horyzontalnymi**, upatrując w tym prawomocność obu punktów widzenia i ich rzekomą, a nie prawdziwą przeciwstawność.

Jeszcze jeden przykład. Od początku swego istnienia chrześcijaństwo i islam nie przestają walczyć z tym, co nazywają pogaństwem. Z biegiem stuleci jako swego rodzaju aksjomat przyświecała ludzkości idea bezwzględnej niezgodności między monoteizmem i wielobóstwem. Dociekanie, dlaczego i jak do tego doszło, odwiodłoby nas zbyt daleko od tematu. Istotne jest co innego: na jakiej podstawie religie pnia semickiego, uznające istnienie hierarchii duchowych i już w średniowieczu rozwijające w najdrobniejszych szczegółach naukę o nich – angelologię i demonologię – ograniczają różnorodność owych hierarchii do tych nielicznych, które zostały włączone do owych średniowiecznych schematów? Czy jest choćby cień konsekwencji w ich pryncypialnej negacji prawdziwości każdego doświadczenia odnoszącego się do hierarchii duchowych? Absolutnie nie ma do tego żadnych podstaw – znów poza powoływaniem się na milczenie Ewangelii i Koranu w tej kwestii. Właśnie z uwagi na niedostateczność podstaw do całkowitej negacji, Kościół pierwszych wieków chrześcijaństwa nie tyle odrzucał bogów panteonu olimpijskiego, ile utożsamiał ich z demonami i szatanami z semickich tekstów kanonicznych. Przy czym, wbrew oczywistości, ignorowano charakter tych bóstw, uznawany przez duchownostwo politeistyczne, i bezzasadnie przypisywano im cechy poniżające i gorszące albo też celowo podkreślano przesadnie antropomorficzny element, przydany tym wyobrażeniom przez podmiot poznający – ludność politeistyczną, przy tym był to element zachowany tylko w prymitywnych, ludowych wariantach owych wierzeń. Jakby uznanie prawdziwości istnienia licznych hierarchii przyrody, wielkich stychyali lub duchów-przewodników narodu mogło zachwiać jedynością Boga Stwórcy i sprawcy Wszechświata, i to zachwiać bardziej niż uznanie istnienia innych Jego prześlicznych dzieci – aniołów i archaniołów, a także tych demonów, których naturę analizowano w kanonicznych naukach Biblii!

Niestety, to stare nieporozumienie do dziś nie zostało wyjaśnione: po antycznym wielobóstwie już od dawna nie ma śladu, ale gwałtowna, ciasna, pozbawiona wszelkiego rozsądku nietolerancja przejawia się za każdym razem, kiedy kościołom chrześcijańskim lub przynajmniej tym, którzy występują w ich imieniu, przychodzi wygłaszać swój sąd o systemach hinduskich, chińskich, japońskich, tybetańskich. W takim samym stopniu nietolerancyjne są również dwie inne religie pnia semickiego.

Widoczny jest tutaj typowy przypadek horyzontalnej rozbieżności między religiami: nie przecząc sobie w sprawach istotnych, nie zderzając się ze sobą w nieprzejrzanym Kosmosie duchowym, chrześcijaństwo i hinduizm, buddyzm, islam, judaizm i szintoizm mówią **o różnych sprawach**, o różnych, że tak powiem, krainach duchowych, o różnych segmentach Szadanakaru, ludzka zaś ograniczoność tłumaczy to jako sprzeczności i obwieszcza, że jedna z nauk jest prawdziwa, a pozostałe fałszywe. „Jeśli Bóg jest jeden, to inni bogowie są, jak to się mówi, samozwańcami; są albo diabłami, albo grą ludzkiej wyobraźni”. Co za dziecinna myśl! Pan Bóg jest jeden, ale bogów wielu – zapis tego słowa po rosyjsku raz dużą, a innym razem małą literą wyraźnie świadczy o różnicach treści wkładanych w to słowo w obu przypadkach. Jeśli zaś powtórzenie tego samego słowa w różnych znaczeniach kogoś niepokoi, to niechże ten ktoś, mówiąc o politeizmie, użyje jakiegokolwiek innego słowa: „wielkie duchy”, „wielkie hierarchie”, choć to i tak niczego nie zmieni, jeżeli nie brać pod uwagę, że użycie słowa „duch” w licznych przypadkach może doprowadzić do nieporozumień, ponieważ wielu z tych bogów to nie są duchy, lecz potężne istoty ucieleśnione materialnie, choć w innych, transfizycznych warstwach bytu.

Wszystkie te oparte na nieporozumieniach rozbieżności między religiami przypominają pewne porównanie, które znalazłem kiedyś w literaturze religijnej, choć nie pamiętam, gdzie mianowicie: to tak jakby kilku podróżników wchodziło z różnych stron na tę samą górę, oglądało i badało różne jej zbocza, a po powrocie zaczęliby spierać się o to, który z nich widział to, co istnieje realnie, a który – dziwaczne wytwory własnej wyobraźni, przy czym każdy sądziłby, że góra jest właśnie taka, jaka rysowała się z jego strony, świadectwa zaś innych podróżników o innych jej stronach byłyby kłamliwe, absurdałne i będące zapadnią dla ludzkich dusz. Tak więc pierwszy wniosek wynikający z konfrontacji rozbieżności między religiami zawiera w sobie drogę do usunięcia tych spośród nich, które oparte są bądź na nieporozumieniu, bądź na braku zgodności przedmiotów poznania religijnego w porządkach doświadczenia duchowego, to znaczy na usunięciu sprzeczności „horyzontalnych”.

Nie tylko jednak politeizm, lecz także animizm i preanimizm nie sprowadzają się do mętnych, przypadkowych, subiektywnych obrazów powstających w świadomości człowieka pierwotnego – za nimi też stoi realność transfizyczna. Opatrzność właśnie dlatego jest Opatrznością, że nigdy nie czyni narodów i ras igraszką fantazmatów i iluzji, nie pozostawia ich bez jakiegokolwiek możliwości zetknięcia się z wyższą realnością. Gdybyśmy wyobrazili sobie, że przez dziesiątki tysięcy lat ludzkość pierwotna była pozbawiona możliwości przeżycia czegokolwiek duchowego albo przynajmniej innomaterialnego, zetknięcia się z czymkolwiek poza światem fizycznym tudzież własnymi fantasmagoriami, to za prawdziwego przewodnika ludzkości trzeba byłoby uznać nie Boga, lecz ciemną siłę. Niech i tak będzie, ale czym duchowe doświadczenie „dzikusa” może wzbogacić nas będących na znacznie wyższym w porównaniu z nim poziomie poznania duchowego? Otóż tym, co zostało

osiągnięte wówczas, w ówczesnych warunkach, przez tamtą niepowtarzalną psychikę, ale nie zostało przekazane w spadku, zostało utracone, nie było dziedzicznie przejmowane do własnej skarbnicy przez następne formy poznania duchowego. Dokonana pod tym kątem widzenia specjalistyczna analiza wyobrażeń magicznych i myślenia prelogicznego pomogłaby nie tylko „zrehabilitować” te stare wierzenia w ich istotnej postaci, ale także znalazłaby dla nich miejsce w zaczynającym się kształtować syntetycznym światopoglądzie religijnym. Wyjaśniłoby się na przykład, że wyobrażenia australijskiego plemienia Arunta²³ o jedynej substancji życiowej, przepływającej w materii nieprzerwanie i wszędzie, z istoty na istotę, z przedmiotu na przedmiot (a w takich wyobrazeniach zawiera się faktycznie cała religia tego plemienia), to najstarsze przekazane ludzkości objawienie Kosmosu transfizycznego, żywe, najwyraźniejsze, bardziej bezwarunkowe niż kiedykolwiek potem odczucie jedynej życiowej siły. Australijczycy nazwali ją arungwilta, wysokorozwinięty braminizm nazywa ją prana²⁴, a jak za dwadzieścia czy trzydzieści lat nazwie ją nauka światowa, to dopiero usłyszymy.

Rozbieżność tę – akceptację tezy o istnieniu arungwilty-prany²⁵ przez najstarsze wierzenia i odrzucenie jej przez większość późniejszych doktryn religijnych – można rozpatrywać jako stadialną „rozbieżność wertykalną” między różnymi poziomami poznania religijnego. Ale i tutaj natrafiamy na ten sam błąd, na to samo nieuzasadnione podejście do cudzego doświadczenia, z którym zetknęliśmy się, rozpatrując zagadnienie negacji przez islam kultu świętych lub idei troistości Boga. Tutaj także za wszystkimi argumentami wytaczanymi przeciw najstarszemu objawieniu, kryje się ten sam naiwny tok myślenia: o arungwilcie-pranie nic nie mówią najbardziej autorytatywne teksty kanoniczne, a zatem nie ma jej. Tok myślenia co najmniej niebezpieczny, ponieważ w takim razie przyjdzie negować realność nie tylko arungwilty-prany, ale też fal radiowych, cząstek elementarnych, i nawet na przykład planety Uran, jako że o tym wszystkim teksty kanoniczne zachowują absolutne milczenie.

Wyjaśnia się w ten sposób również to, że jest nieunikniona konieczność uwzględnienia tego, co nie zostało uwzględnione w epoce powstawania dawnych, by tak rzec, klasycznych konfesji. Należy więc zaakceptować doświadczenie pierwotnego poznania duchowego, jak również to, co nie mogło być wówczas wzięte pod uwagę z powodu charakteru biegu rzeczy: doświadczenie wielowiekowej ewolucji religii na wszystkich kontynentach, doświadczenie historii świata i doświadczenie

23 Arunta – nieduże plemię australijskie, pod koniec XIX wieku liczące kilkuset ludzi.

24 Prana (sansk. „oddech”) – termin w religii hinduistycznej, oznaczający siłę życiową; prana bliska jest także pojęciu „duszy świata”, z którą stara się połączyć.

25 Na marginesie, o ile Ewangelia nie wspomina o arungwilcie-pranie bezpośrednio, to jednak szczegółowo opowiada o wielu przypadkach, kiedy Chrystus a później apostołowie posługiwali się tą substancją. Jest doprawdy niepojęte, jak mogliby chrześcijańscy ortodoksi wyjaśnić istotę tego immaterialnego mechanizmu, którym posługiwali się sprawcy cudownych uzdrowień, jeżeli zaprzeczy się obecności siły życiowej rozlewanej we wszystkim i wszędzie (przyp. D.A.).

nauki. Materiał tego rodzaju doświadczeń uczy nas dynamicznego podejścia do wszystkich dogmatów i tez, rozumienia każdej tezy jako ogniwa w łańcuchu rozwoju religijno-historycznego i umiejętności rozdzielenia jej na dwie, a nawet trzy warstwy. Najgłębsza warstwa to **podstawa idei**, zawierająca względną cząstkową prawdę. Druga warstwa to specyficzne zabarwienie, opracowanie, uszczegółowienie idei w takiej mierze, w jakiej jej indywidualny, rasowy lub uwarunkowany epoką aspekt jest uzasadniony, ponieważ właśnie takie i tylko takie rasowe lub epokowe ukształtowanie duszy umożliwiło temu narodowi przyjęcie tej idei. Natomiast najbardziej zewnętrzna, trzecia warstwa to łupina, aberracja, nieunikniona mętność ludzkich świadomości, przez którą przenika światło objawienia. Zatem doświadczenie wszystkich stadiów rozwoju, w tym również stadium politeistycznego, animistycznego i innych, powinno być uwolnione od swej zewnętrznej warstwy, wyłuskane z łupiny, od nowa usensownione i włączone do światopoglądu religii „sumarycznej”. Rzecz jasna, zasada takiej pracy jest tutaj zaledwie zaznaczona, systemy kryteriów wymagają ogromnej precyzji, a w ogóle taki przegląd „dziedzictwa religijnego” to zadanie kolosalne, wymagające wspólnego wysiłku wielu, wielu ludzi; obecnie brak do tego nawet kadr, nie mówiąc o innych nieodzownych warunkach. Ale jeśli to jest tak wielkie zadanie, to im szybciej przystąpi się do jego realizacji, przynajmniej do pracy przygotowawczej, tym lepiej. Nie należy pomniejszać trudności, ale istnieją wszelkie podstawy, by mieć nadzieję, że przy dobrej woli, energii i inicjatywie osób sprawujących kierownictwo, przepaści i wyrwy, które obecnie dzielą wszystkie religie, będą stopniowo zasypywane i mimo że każda religia zachowa swoje specyficzne i niepowtarzalne cechy, to jednak jakiś duchowy związek, jakiegoś rodzaju unia zdoła z czasem połączyć wszystkie doktryny „prawej ręki”.

Wiadomo, że wielu Japończyków, którzy są wyznawcami chrześcijaństwa, dochowuje równocześnie wierności szintoizmowi. Razi to prawowiernego katolika czy protestanta, a także wyznawcę prawosławia, który nie może pojąć, że jest to psychologicznie możliwe, a nawet wyczuwa w tym coś w rodzaju bluźnierstwa. A jednak jest to możliwe bez żadnego bluźnierstwa, a nawet zupełnie naturalne, dlatego że doświadczenie chrześcijaństwa i doświadczenie szintoizmu różnią się horyzontalnie – odnoszą się do różnych spraw. Szintoizm to mit narodowy, to aspekt światowego objawienia religijnego, skierowany do narodu japońskiego i tylko do niego, to uświadomienie sobie duchowej, a lepiej to ujmując, transfizycznej realności nadbudowanej nad narodem japońskim i tylko nad nim, a przejawiającej się w jego historii i kulturze. W szintoizmie nie da się znaleźć odpowiedzi na pytania o charakter kosmiczny, planetarny lub ogólnoludzki: o Stwórcę świata, o pochodzenie zła i cierpienia, o drogi kosmicznego ziszczenia. Szintoizm mówi tylko o metahistorii Japonii, o jej metakulturze, o przewodzących temu narodowi hierarchiach i o niebiańskim zgromadzeniu rozświeconych dusz, które wzniosły się do wyższych regionów Szadankaru właśnie w Japonii. Synkretyzm Japończyków, to znaczy wyznawanie przez nich

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

